

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**JACEK BOCHEŃSKI**

**TABU**

Tower Press Gdańsk 2001

Copyright by Jacek Bocheński

# I

Wszystko już teraz powiem Wielebnym Ojcom. Tak, przyznaję się, to było umówione.

Nie, proszę Wielebnych Ojców, nie wiem po co. Było umówione miejsce za rogatkami, w zagajniku, na lewo od mostu, i godzina była umówiona, zaraz po wschodzie słońca, i osioł. Tak, przebranie też.

Nie wiem po co, proszę Wielebnych Ojców. Nic nie myślałam wtedy, tylko że rano taki piękny, bo właśnie tego dnia zaświeciło słońce po długich deszczach i pokazało się czyste niebo, niczego się nie bałam, tylko czy Diego przyjechał i czy już tam jest, a więcej nic, w głowie mi szumiało, bo tej nocy nie spałam prawie, i wstałam o świcie, i tak szłam bez pamięci, w słońcu, droga pusta, zaszłam za rogatki, nikt mnie przy nich nie zatrzymał, a za rogatkami było jeszcze jaśniej i też pusto o tej porze, więc prawie biegłam i patrzyłam na niebo i na Pireneje bez chmur

Nie, proszę Wielebnych Ojców. Diego też nie wiedział. Diego już tam był nad rzeką. Skręciłam na lewo od mostu w zagajnik, cicho szłam, nic nie było słychać, zobaczyłam brzeg strumienia za drzewami, pomyślałam – to tu, ale Diego nie zauważył mnie jeszcze, osły szczypały trawę, jeden osioł siwy spojrzął, drugi myszaty nie, podeszłam bliżej, serce mi stanęło, a Diego ciągle nic, siedział nad strumieniem, woda pluskała i Diego patrzył w wodę. – Diego – mówię – Diego – tak tylko szeptem. On do mnie: – Dolores – drgnął nagle, odwrócił się – Siostrze Dolorosa – powiada i patrzy na mnie, i ja na niego patrzę, i widzę, jaki on jasny, śmieje się, taki rozświetlony cały, i znowu – Dolores – a woda pluszcze i osły szczypią trawę. – Pośpieszmy się, Siostrze Dolorosa – powiada. Ja na to: – Dobrze, jaki piękny dzień – mówię. On: – Byle dalej od miasta. – Ja: – Na siwym osle – mówię – pojedę. – I do osła. Ale nie. On powiada: – Nie możemy tak jechać, różnych ludzi spotyka się na drogach, tu mam przebranie dla ciebie. – I do sakwy. Wyjął odzienie jak na pachółka, hajdawerki, a ja nic, niech będzie – myślę, hajdawerki – myślę, a choćby kamień do szyi albo w ogień, to i tak niech będzie, zacięłam się, coś dziwnego na mnie przyszło, jakbym bez czucia była. – Diego – mówię – Diego, wcale się nie boję. – Carissima – on powiada, ale posmutniał, ciemniejszy. Zerwał się nagle, wsiadł na osła, siwego zostawił przy mnie, żebym od razu jechała za nim, to on tymczasem popatrzy na drogę i będzie czekał koło mostu. Stoję bez czucia, jakaś taka zimna suchość jest we mnie, a choćby kamień do szyi – myślę, nie, źle mówię, nic nie myślę, zrzucam z siebie wszystko i do sakwy.

I zaraz hajdawerki, proszę Wielebnych Ojców.

Szybko to zrobiłam.

I na osła.

Było mi trochę straszno, ale patrzę: słońce, wszędzie cisza i droga wolna, na moście pusto, Diego czeka, jadę tam. Diego tylko poruszył ustami na mój widok, nic nie powiedział, a oczy miał, o, takie duże. I nie spuszczał ze mnie tych oczu, podjechał blisko i wziął moją rękę w swoją, potrzymał, szepnął – Dolores! – A mnie gorąco. – Gdzie habit? – spytał Diego. – W sakwie – mówię. – Dobrze – powiada. – Jedźmy.

Ruszyliśmy kłusem. Diego nie żałował osła, bo tak było umówione, że pierwszego dnia pośpieszamy ostro, aby prędzej do gór. Aż furczało i kamyki leciały spod nóg osła na wszystkie strony. I Diego miał rozwiane włosy. Ciągle spoglądaliśmy po sobie, dziwiąc się i śmiejąc, że tak jedziemy, śnię może – myślałam, a Diego był znowu jasny, jak promień, i te osiołki wesołe

Szczerze powiem Wielebnym Ojcom: raz tylko pocałował mnie po drodze, kiedyśmy osły poili.

Było mi to przykre.

Nie broniałam się, ale było mi to przykre.

Nic nie powiedziałam. On powiedział: – Po tamtej stronie to już... – Rozumiałam, że po tamtej stronie gór. Chciał jakby coś więcej powiedzieć, ale na tym skończył. – Po tamtej stronie to już... – I tylko patrzył. Myślałam, że mówi o granicy francuskiej. Potem nieraz jeszcze powtarzał: – Dolores, kiedy już przejdiesz ze mną na tamtą stronę... – I przymykał oczy. Albo: – Siostrzo Dolorosa, Siostra wcale nie wie, jak jest po tamtej stronie. – Jak? – pytam. – Pięknie –powiada. Zdawało mi się, że to nie o królestwie Francji, tylko o czymś, co Diego chciał zrobić ze mną. Jasno mi tego nie tłumaczył. Zapytał, czy słyszałam słowo Eden. Pewnie, że słyszałam. – Po tamtej stronie zaczyna się Eden – rzekł. – Albo Gehenna – dodał po chwili.

Wielebni Ojcowie raczą pamiętać, że Diego jest poetą i człowiekiem szalonym.

– Ten zamek ci ofiaruję – mówił, kiedy przejeżdżaliśmy obok jakiegoś opuszczonego budynku chłopskiego, i obłoczki mi darowywał na niebie, to właśnie najbardziej mi się podobało, że takie rzeczy opowiadał o Centaurach i Pegazach i różne inne. – Dolores, lilio biała – wołał. Albo: – Słodszaś mi od miodu hymeckiego. – Na tym zeszło nam do wieczora, nie wiem, jak i kiedy, bo jechaliśmy niby we śnie, niby Adam i Ewa, tego dnia dopiero stworzeni przez Boga i dziwiący się drzewom, kwiatom i rozmaitej zwierzynie. Tak to trwało, ta jazda, wiele godzin, nie wiem ile. Nareszcie Diego powiada: – Głodny jestem. Znam tu jeden zajazd o pół mili, tam przenocujemy. – Złękłam się, ale osły zgonione, noc bliska i nie ma żadnego schronienia w polach, chyba iść do lasu. – Zajazd na odludziu – ośmiela mnie Diego. – Nikt Siostry nie pozna.

– A co mi to? – obruszam się, choć cała drzę. – Przeorysza nie jedzie za nami na osiołku. Nocujmy – mówię. Śmiał się Diego. To już potem pierwsza weszłam do zajazdu. A pies czarny na podwórzu bardzo się biesił. Ludzi dużo na ławach, piją i szumią jak bąki. Gospodarz wysoki, oczy rybie. Ja do niego: –Chcemy tu nocować. – Kto? – pyta. – Mój pan i ja. – Gdzie ten twój pan? – A już i Diego wchodzi. – O – pokazuję – mój pan! – i wiem, że się robię czerwona, tamten z rybimi oczkami coś mówi, a ja się całkiem tracę i odpowiadam od rzeczy, tamten cmoka językiem, i głupio mi się przygląda, i chichocze. Ale Diego brzęczy sakiewką i daje mu reala. – No, to dobrze, señor – powiada gospodarz – nocujcie, tylko mam wielu gości, muszę was .wszystkich położyć w jednej izbie. – Na to Diego, że może przecież... – Nie, nie – przerywa tamten i – co będziecie jeść i pić – pyta – jagnię czy kapłona, wino czy jabłecznik? – Diego mu wtedy, że baranka i wino, ja, że sałatę i jabłecznik, ale i baranka, bo Diego głodny. Jemy. – Co z nami będzie? – mówię. – Czy wiesz, Diego? – Nie wiem. – Co my robimy, Diego?

– A jemu oczy zaszczyły mgłą. – Czyśmy dostali pomieszania zmysłów? Powiedz, Diego. – Jeszcze jesteśmy po tej stronie – szepnął. Czarny pies zajrzał przez drzwi, wszedł, węszy pod stołami, a lezie prosto w kąt, gdzie złożona sakwa. Tam stanął, obwąchał sakwę. Aż gospodarz fuknął: – Precz, pies. – Diego znowu się zaśmiał i pochwalił baranka, że smaczny. Owszem, niezły – myślę – a w refektarzu mojego klasztoru pewnie się teraz odmawia pacierz, siostrzyczki siadają do wieczerzy, mnie jednej nie ma, przeorysza blada i co się tam musiało dziać przez cały dzień – Diego, słuchaj, co z nami będzie – powiadam tak cicho, cichuteńko, żeby nikt nie usłyszał – co w klasztorze, Diego? – Chyba płaczą po tobie siostry zakonne. – Nie wiem, czy płaczą, co ty znowu, Diego, może niektóre, ale tego czarnego psa się boję, wiesz, Diego? – To ja mu – Diego na to

Zwykły był, jak każdy pies, proszę Wielebnych Ojców.

Tylko czarny.

Czasem coś człowiekowi przychodzi do głowy, ale

Więcej nic osobliwego w nim nie zauważyłam. Potem jeszcze we śnie.

On i gospodarz.

Szczegółowo? Rozumiem. No, to Diego powiedział: – Dolores, chodź, spojrzymy na gwiazdy i – spać! – Gwiazd nie było, księżyc za to wychylał się zza jakiejś góry, więc

postaliśmy trochę i wnet poszliśmy ze świecą do izby, w której nam gospodarz kazał nocować. Wszędzie leżeli już nieznajomi mężczyźni, tylko dwa posłania w rogu były nie zajęte. Ale nikt jeszcze nie spał. Mówili coś półgłosem po baskijsku. Do nas żaden się nie odezwał. Umilkli, kiedyśmy weszli, o nic nas nie pytali, ani skąd, ani po co jedziemy, ani kto jesteśmy. My też nie wiedzieliśmy, kim są oni. – To lepiej – mruknął Diego, a potem: – Ułóż się – szepnął – dalej od nich, przy ścianie, a ja tu z brzegu. Nie chciałam leżeć tak w głębi przy ścianie, bo mi się nagle wydało, że jakby co, to stamtąd nie było ucieczki – nie, Diego – rzekłam i wydało mi się, że byłabym przy tej ścianie bezwolna i że już bym popadła tylko w moc Diega – nie, Diego, wolę sama z kraju. – No, mówię ci – bierz tamto posłanie, no, co z tobą, carissima, ułóż się, to zdmuchnę świecę. – Nie, Diego, ja zdmuchnę świecę. – Co z tobą? – nastawa! – Boję się. – Czego? – Tych Basków i psa – powiedziałam, ale nieprawda, bo się bałam Diega, czy ja wiem zresztą, może nocy, może wiecznego potępienia, i co ja zrobiłam, Święta Mario Magdaleno, nic jeszcze nie zrobiłam, ale bałam się właśnie, że coś zrobię tej nocy albo następnej, i że już na zawsze, i co potem, tego się bałam. Diego przycichł naraz, jakby zniecierpliwiony, legł przy ścianie bez słowa. Zgasiałam świecę, położyłam się ostrożnie na posłaniu i przez chwilę, całkiem nieruchoma, słuchałam szmerów, oddechu Diega, Baskowie zaczęli chrapać, poświstywać przez sen, zamknęłam oczy. Majaczyły mi w głowie jakieś widoki, a wtem Diego westchnął i poczułam, że jego dłoń przysuwa się do mnie. Drgnęłam. Diego spytał: – Nie śpisz? – Zaraz usnę. – Znalazł moją rękę w ciemności, lekko ścisnął i tak trzymał, a kiedy chciałam ją zwolnić z uścisku, nie dawał. Nagle jeden Bask, leżący niedaleko, poruszył się gwałtownie. Przeraziło mnie to i szarpnęłam się bardzo mocno, żeby wyrwać rękę, lecz Diego przytrzymał jeszcze mocniej, a ja powoli słabłam i ulegałam, i przestawałam się wrywać, i on zupełnie rozluźnił uścisk, a ja już się nie cofnęłam, i było mi nawet dobrze, gdy w ciemności gładził moją dłoń, aż na koniec ujął ją znowu silniej, jakoś tak dziwnie, z takim drzeniem, że rozeszło się to po mnie, po całym ciele, i wreszcie sam puścił, odsunął się, jakby uciekł, a ja potem od razu zasnęłam. Nic nie wiem, nic nie pamiętam, słyszałam hałas, ktoś chodził, a mnie śniła się ryba długa, wielka, z ogromnym pyskiem, i ta ryba na mnie, nie wiem, co, ale na mnie, pewnie płynęła, miała oczy gospodarza zajazdu, uśmiechała się bezmyślnie, rybko, całym pyskiem, i parla, nie mogłam się ruszyć, czułam, że mnie dotyka po nogach, po biodrach i wyżej, a taka śliska, co ona ze mną robiła, to bolało, nie ryba, pies, o matko, drapał pazurami, czarny pies rzucał się na mnie, byłam naga, nie pies, gospodarz zajazdu, coś mówił, ale nie rozumiałam, a on tymi łapami, takie zwierzę, jakieś głosy w pobliżu, jacyś ludzie, już wiedziałam, że to sen, tylko nie wiedziałam, gdzie jestem, otworzyłam oczy i było jasno, chyba świt, i ktoś mnie obejmował za szyję i całował. Diego! – Wiesz, Dolores, Baskowie właśnie wyszli – rzekł. – Czekałem, aż odejdą, zdawało mi się, że spłonę tu z miłości do ciebie. Przez pół nocy leżałem bezsennie, potem rozedniało, patrzyłem na twoje usta, Dolores... – Mówił i wciąż mnie całował, a ja nie ruszyłam się z początku, zastygłam półprzytomna w tym przerażeniu i w tych objęciach, aż powiedziałam: – Słuchaj, Diego, zostaw mnie teraz, nie chcę, żebyś mnie dotykał, już odejdz. Zdrętwiał mi nagle i zaraz wstał. Brzydziłam się go wtedy. Do południa mało mówiliśmy ze sobą.

Tak, to był drugi dzień.

Oczywiście, ruszyliśmy dalej w tę samą drogę.

Niechże mi wierzą Wielebni Ojcowie, że nie znałam kierunku. To już Diego

Znowu na osłach, dnem doliny, między wzgórzami, znowu ciepło

Jechaliśmy trochę wolniej, bo droga biegła pod górę i od rana bardzo grzało słońce. A niebo kryształowe. I nigdzie nikogo. My sami pod tym niebem. Diego nie patrzył na mnie. Milcząc, posuwaliśmy się na osłach w górę doliny i było aż ciężko od ciszy, od słońca i od tego czegoś między nami, co się wlokło z nocy w zajeździe. Nie wiedziałam nawet, co to takiego i skąd się wzięło, podobał mi się teraz Diego, kiedy tak jechał, smutny jakiś,

kamienny, i pomyślałam, że go kocham, chyba już na pewno, i że może zrobię to, czego chciał, gdzieś tu w górach, i niech mnie zabiera do Francji, przecież uciekałam z klasztoru, i umawialiśmy się przedtem, taki grzech, ale pewno zrobię to – myślałam. Koło południa zatem, gdy dotarliśmy do szerokiej przełęczy, skąd zobaczyliśmy murowankę pasterską nie opodal na polanie, i gdy Diego napomknął, że trzeba dać wytchnienie osłom i że może dostaniemy u tych pasterzy świeżego mleka, poprosiłam, żeby mnie jeszcze tam nie prowadził, bo na przełęczy tak pięknie i przyjemnie, i rosną jodły – to położmy się lepiej tu w cieniu – rzekłam – odpoczniemy – a gdy Diego się położył i nie dotknął mnie, tylko spytał, dlaczego jestem okrutna, i gdy nagle wybuchnął płaczem, że tak niesprawiedliwie ukarałam go tego ranka, wtedy ja objęłam go, przytuliłam jego głowę do piersi i powiedziałam: – Nie płacz, już będzie dobrze. – Zaczął mnie całować po rękach, a patrzył, jakby mu te słowa pociechy opowiadał anioł. – Dolores... – mówi – ja przecież... – Ale nie dokończył, znowu płacze. – Ja przecież... – powtórzył. Tulę go z miłości i z żalu, i ze zdumienia, i z lęku, że płacze. Nie wiem już: mężczyzna czy dziecko? I ciarki mnie przechodzą. A on: – Święta dziewczyno, biała gołębico – powiada, przez łzy to mówi – Dolores, Dolorosa, nie chciałem cię urazić nawet jednym tchnieniem, nie chciałem nic, czego sama nie pragnęłaś, nie chciałem splamić twej niewinności, przecież wiesz co było, chciałem z tobą jak z lilią, Dolores, a ty... – I płacze. Tulę go najtkliwiej, jak potrafię, i myślę: kocha. – Ach, Diego, uspokój się, będzie dobrze, zobaczysz. – Raptem zatrzęsł się, krzyknął: – No, popatrz, co ze mną robisz, czego ty mi zadałaś, dziewczyno, co ja czynię doprawdy, kim ja jestem?

Mówiłam już Wielebnym Ojcom, że on był jakby trochę dzieckiem. Nie dlatego, że płakał, ale że po tej mojej obietnicy, kiedy go tak tuliłam do piersi i pocieszałam, wnet poweselał. I jeszcze dlatego był dzieckiem, że chyba nie wiedział, po co uciekamy do królestwa Francji, i czy rzeczywiście tam uciekamy, i jak tam będziemy żyć, mało myślał o tym, raczej marzył, raczej spodziewał się jakiegoś cudu i tylko mówił o „tamtej stronie”. Ale „tamta strona” nie była Francją, mogła się zacząć w Hiszpanii, bo przedstawiała się mu przeważnie jako to, co mieliśmy zrobić, i o czym ja myślałam na przełęczy, a czego on nigdy nie nazywał innym słowem, jak gdyby się lękał; Francję i to ciągle mieszał.

On jest bardzo dziwny, proszę Wielebnych Ojców.

Wyobraźcie sobie. Wielebni Ojcowie: jedziemy i ta Francja przed nami, tylko przejść Pireneje. Co będzie, kiedy je przejdziemy? Diego mówi: będzie muzyka sfer. Czy ja nie słyszę, że już czasami gra po tamtej stronie? Może. Coś tak nawet jakbym słyszała. Ale jakie rzecz y będą tam na ziemi francuskiej, jakie domy, zwierzęta, to chciałabym wiedzieć. Będzie wielki gaj migdałowy, cały w kwiatach, wstąpimy do tego gaju i będzie pachniało migdałami. Przecież wszystko nie może być gajem. A nie, będą rzeki winem i nektarem płynące, pójdziemy z nich pić. Będą się kolorowe baranki, żółte i niebieskie, i szkarłatem fenickim sycone, pasły na łąkach. Będą padać deszcze złotego miodu i wszędzie rozkwitną nenufary. Owszem, ładnie będzie w królestwie Francji, ale kto nas tam przyjmie na samym początku, gdy przyjdziemy? Kto? Faunowie leśni z puszczalkami. Powiadam: – Bój się Boga, Diego, faunów nie ma. – On na to: – O, tam jest większa swoboda, nie panuje Święta Inkwizycja, dlatego uciekamy do Francji. – Ja myślę: dobrze, ale w hajdawerkach czy w sukni? Bo już nie w habcie. Jak to będzie? Dlaczego mam być w hajdawerkach? Chciałam tego wszystkiego, prawda, ale nie tak, nie w hajdawerkach. Czy on się ze mną ożeni? Kim będę we Francji? Pytam: – Diego, jaką suknię włożę? – Z piany morskiej i gwiazd – odpowiada. Zawsze mówi tak pięknie, a we mnie serce taje, i nawet widzę na sobie suknię z piany morskiej i gwiazd, i wiem, że on mnie też widzi w takiej sukni, i już mi obojętne hajdawerki, nie hajdawerki, pójdę za nim w grzechu i hańbie do królestwa Francji, do tych migdałów i nenufarów. Ale on mówi czasem jeszcze inaczej: nie, dziecko! Mnie tak nazywa: dziecko. Mówi: – Nie, dziecko, nie będzie muzyki sfer, nie będzie gaju migdałowego i nenufarów, nie wiadomo, co się pokaże po tamtej stronie, a jeśli męka, a jeśli gorzki piołun, a jeśli nam sądzono we łzach żuć

ten zakazany owoc? Nikt nie zna jego smaku, póki nie skosztował. Więcej bywa w nim nieraz jadu, niżeli słodyczy, przewrotnie Bóg zatrzał to swoje jabłko, Siostrze Dolorosa. Po tamtej stronie jest mrok, a przejść na tamtą stronę to tak, jak zamknąć oczy i skoczyć z wysokiego brzegu w ciemność. I dojdiesz do krawędzi, Siostrze Dolorosa, i albo wrócisz, albo skoczysz, albo zaczniemy się szamotać i kto kogo zepchnie? Ja cię zepchnę?

Pamiętam dobrze chwilę, kiedy o to zapytał, niby sam siebie, i mogę Wielebnym Ojcom powtórzyć wszystko najdokładniej. Zważcie tylko. Wielebni Ojcowie, że działo się to już później, nie na przełęczy, o której opowiadałam, ale w wyższych górach, dopiero trzeciego dnia.

Pamiętam, że po tym pytaniu, czy on mnie zepchnie, Diego umilkł, jakby czekał na odpowiedź. Ja też milczałam i Diego odpowiedział sam: nie, nigdy! On tego nie robi. Chciał jeszcze coś dodać, otworzył nagle usta, lecz jakoś nic nie mówił, tylko pozostał z otwartymi ustami i patrzył na mnie, ale tak, że nie byłam pewna, czy kocha, czy nienawidzi. Jeśli rzeczywiście jest gdzieś ciemność, w którą człowiek strąca człowieka z wysokiego brzegu, to Diego już tym spojrzeniem mógł strącić i zabić. Ale on nie chciał spychać mnie w ciemność, on wolał, żebym spadła sama! I wtedy pojęłam, że on to woli i że na to właśnie czeka z otwartymi ustami. Diego się chyba domyślił, co pojęłam. Zbladł nagle i rzekł: – A może ja? Może ja cię zepchnę? Czułam, że mi zaraz łzy trysną z oczu, bo już mnie kurecz chwycił za gardło. A Diego mówił dalej: – Polecimy w ciemność, Siostrze Dolorosa, po jabłko, które Bóg rzucił na tamtą stronę, aby pływało w mroku złego i dobrego. I rozgryziesz je, Siostrze Dolorosa, i będzie w nim robak. Tak czasem bywa, wiedz, Dolorosa, że zdarza się obrzydliwy robak, a myślę – mówi – że może od pierwszego spojrzenia, którym się obrzuca jabłko, zanim się go jeszcze dotknie wargami, może od tego spojrzenia, jak od uroku, zależy, czy się robak zalęgnie. A jeśli będzie robak, to zrozumiesz, gdzie spadłaś. I będziesz czołgać się po ziemi na skrwawionych kolanach, w boleści wzywać imienia boskiego nadaremno, w prochu i pyłe przeklinać mnie i siebie, i zobaczysz, jakie po tamtej stronie są

To on mówił trzeciego dnia.

A cóż ja mogłam?

Słuchałam ze ściśniętym gardłem i z odrazą, myślałam, po co on mnie tak dręczy i straszy, czego chce, chyba naprawdę nienawidzi, i jak mógł o tym robaku, pewno miał coś takiego z innymi kobietami, bo skąd wie, jak jest po tamtej stronie? Musiał bywać tam z jakimiś ladacznicami, może nie pierwszy raz chodzi tędy, może mówił im to samo, ale one nie ślubowały czystości, no to nie chcę, już dość

Wtedy na przełęczy? Nie, na przełęczy nic się nie stało.

Na przełęczy poleżeliśmy jeszcze trochę w cieniu, Diego się uspokoił i osiołki wypoczęły. Było nam lżej na sercu, Diego nawet powiedział: – O, popatrz, Dolores, chmurka! – Bo nad najwyższym szczytem pokazała się pierwsza chmurka. A Diego od razu spytał: – Czyja będzie, moja czy twoja? – Już ją sobie zostaw, niech będzie twoja – rzekłam. On na to: – A właśnie twoja. – Ja: – Twoja. – On znowu: – Twoja. – I tak śmieliśmy się, krzyżąc tylko: twoja, twoja. Aż nagle coś huknęło w lesie nad nami i Diego przyłożył palec do ust. Czekaliśmy chwilę, słychać było trzaski, ktoś tamtędy schodził, nareszcie widzimy: idzie pasterz, niesie kulawą owcę. Diego się ucieszył, że nam ten człowiek powie, jaką drogę obrać dalej, w dół ku murowance, czy w górę przez las. Jak wola, panie – mówi pasterz. – Jeśli chcecie do oceanu i zwyczajnie brzegiem morskim do granicy, to zjeżdżajcie ku murowance, jeśli wolicie górami, to od razu stąd przez las. Ale wy pewno wolicie górami. Nic się nie bójcie. Jeden tylko tu Bóg nad nami i orły. Ludzie różnego stanu szli już tą drogą, hidalgowie w białych kryzach i ci, co może uciekli z galer. Wy też przejdziecie. Ruszcie teraz do góry lasem, ścieżka was wywiedzie na upłaz, grzbietem upłazu łatwo pojedziecie dalej, a słońce będzie was grzało w plecy. I tak pośpieszajcie wciąż przed siebie i nie oglądajcie się na nic, tylko liczcie potoki spływające wąwozami, jeden, drugi, trzeci, czwarty potok, aż zobaczycie

po lewej ręce głęboki parów i piąty potok, bardzo głośny, a trochę niżej na równinie koszar owczy i szałas. Tam staniecie na noc, bo już będzie wieczór. Jutro wam ludzie pokażą, jak iść dalej. Tylko te osły będziecie musieli im zostawić. No to z Bogiem, panowie. – Poszedł. A my w śmiech. – Opatrzność czuwa nad nami – rzekł Diego – i zesłała pasterza, abyśmy nie zjeżdżali do murowanki i nie nakładali niepotrzebnie drogi, chyba że nas ten Dafnis wysyła prosto do jaskini zbójckiej, w ręce jakichś kudłatych opryszków, którzy właśnie ostrzą noże. – I okazało się, że wszystko było tak, jak mówił ten uczciwy człowiek: był bardzo długi upłaz, było słońce za plecami, cztery potoki, a kiedyśmy zjeżdżali do piątego, słychać było już z daleka śpiewających mężczyzn. Diego powiedział: – Zaiste Menalkas i Tityrus siedzą tam, bo nie wygląda mi to bractwo na szajkę łotrzyków. – Wtem zaśpiewała jeszcze kobieta i Diego dodał: – Jest i Amaryllis. – Szalas stały w kotlinie. Dostrzeżliśmy je zaraz. Zbocze nie było strome, osiołki zbiegły truchtem, ludzie przywitali nas grzecznie i tylko jedna dziewczyna, ta Amaryllis, rozpoznała mnie od pierwszego wejrzenia. – Ty panną jesteś – mówi.

Nocowaliśmy u nich.

Przemytnicy też chodzą tamtędy i ci pasterze są przyzwyczajeni do

Diego sam pytał, czy nie bywa rozboju, ale nie, teraz nie ma – powiedzieli – a co gość, to zawsze święto.

Dali nam sarniego mięsa, grzybów i różnych serów, żebyśmy jedli, co chcemy, aż Diego się dziwił, jaki ładny poczęstunek, a jeszcze obiecali dołożyć żywności na drogę. – Zostawcie tu osły – rzekli – bo pójdziecie odtąd po skałach. Osły już tam na nic. I nie bójcie się. Choćby was kto ścigał, nic nie powiemy.

To dobrzy ludzie. A żwawi i weseli jak ptaki, ciągle piosenki

Tak cały wieczór

Ściemniało zupełnie, pora kłaść się, nocleg przygotowany, więc pomodliliśmy się

Ta Amaryllis?

Rozpoznała mnie, tak. – A może ty nie jesteś panną – powiada – może jego żonką? – I do Diego: – Ona jest panną czy waszą żonką? – Diego się śmieje. – Żonką, żonką – woła. – Jak żonką, to idźcie oboje spać do mojego szałasu. – I dała nam jedno posłanie. Ja już nic na to. Pomodliliśmy się.

Strach, pewno że strach. Myślałam: co my w takiej pustce, znikąd ratunku, i przecież nie można, i czy Diego chociaż rozumie? A skądże! Naprawdę to palił się tylko do mojej cnoty, żeby ją prędzej zabrać, jeszcze rano w zajeździe i teraz w nocy znowu o tym mówił, i ja wiedziałam, że wszyscy mężczyźni są tacy, a on powtarzał: będziesz moja, moja, moja, moja, moja. – Ale jak, Diego – powiadam – jak ja będę twoja, kiedy przecież nie można, no co z tego, czy bym chciała, czy nie, kiedy przeciwko ludziom i Bogu, sam wiesz... – Nie przeciwko ludziom, skoro już rozpoznała cię ta Amaryllis... – Przeciwko Bogu, Diego. On nie musi nawet rozpoznawać. On i tak wie wszystko. – O, wielkie nieba – westchnął – wielkie nieba! – Ale, Diego, co ty? – Objął mnie, całuje po włosach, oczach, matko, po kaftaniku, który miałam na sobie, rozchylił go, choć się broniłam, przywarł do mojego ciała, rozdygotany, gorący. – No, ale, Diego... – Nie słyszał, leżał z policzkiem prawie na mej piersi, mówił jakby w malignie, jakby śpiewał: będziesz moja, moja, moja... – Ciszej, Diego, bo może kto słucha. – Niech słucha, niech zatrąbią na cały świat, że bodziesz moja, moja, niech we wszystkich kościołach zadzwonią... – Kiedy nic nie zatrąbią i nigdzie nie zadzwonią, pomyśl, Diego, przecież my tu jak złodzieje... – A kochasz mnie, Dolores? – Kocham, Diego, tylko, wiesz, czuję się taka brudna, po twoich rękach zostają wszędzie ślady, po każdym pocałunku osiada coś lepkiego, zasycha i piecze. – Nie mów tak – szepnął. – Nigdy mnie nikt nie całował – tłumaczę mu – to może przez to, a może za nasze grzechy... – Nie mów tak. Kochasz mnie? – Kocham cię, Diego. – Jeżeli kochasz, dlaczego nie chcesz, aby się miłość nasza spełniła? – Spełniła? Czy musi ją ciało spełnić w grzechu? – Znowu



zaczął jakby w gorączce błędzić ustami po moich oczach i ramieniu, i wszędzie, szepcząc: – Tak, tak, Dolores, tylko ciało może ją spełnić w grzechu, uwierz mi. – Ale czemu, Diego? – Bo dopiero wtedy wiadomo, czy miłość jest, a inaczej może jej wcale nie ma, słyszysz, Dolores, może jej w ogóle nie ma? – Serce podeszło mi do gardła. Pomyślałam: a jeśli rzeczywiście nie ma, jeśli to się tak jakoś sprawdza i jeśli już właśnie widać, że nie ma? Czy mogłabym jeszcze wrócić do klasztoru? A Diego wciąż błędził ustami po moich rękach, po szyi, po kaftaniku, w który byłam ubrana, i zdawało się, że nie wie, co czyni, jakby przestał nad sobą panować, i także od tego serce podchodziło mi coraz bardziej do gardła, aż zawołałam: – Nie, Diego, ciało nie spełnia miłości, przecież to dusza, mówię ci, dusza spełnia prawdziwą miłość. – Znieruchomiał. Powiada: – Dziecko! - Kiedy nie, Diego, co ty mi, że ja dziecko, nie jestem dzieckiem, chcę tylko być czysta, rozumiesz? – Dziecko! – powtórzył głośnie. Długo leżeliśmy potem bez ruchu, spokój był dokoła, księżyc prześwitywał szparami w dachu, szumiał potok. W końcu powiedziałam: – Więc jak to jest? Czy miłość nie spełnia się nigdy w czystości, zawsze w grzechu? – Miłość – odparł – spełnia się tak, jakby się z tego szczytu, który jest nad nami, oderwał kamień i zaczął spadać w tę kotlinę, i jakby porwał ze sobą wiele innych kamieni, i jakby to wszystko toczyło się w huku i pędzie, ani w grzechu, ani w czystości, lecz po prostu w huku i pędzie. Jeżeli kiedyś będziesz tylko strumieniem toczących się kamieni i będziesz tak spadać w dół, zobaczysz, jak się spełnia miłość. – Pomyślałam: zrobię to o. Najpierw uniosłam się na posłaniu, siadłam. Diego nie drgnął. Pomyślałam: zrobię to zaraz. I już pochyliłam się w tę stronę, gdzie leżał Diego, zawisłam nad nim w powietrzu, a on czekał. Coś mi podszepnęło: nie rób tego, Dolorosa. Cofnęłam się, ale natychmiast pochyliłam się znowu. Diego wyciągnął ręce i coś tak, jak przedtem, podszepnęło mi: opamiętaj się, Dolorosa, nie rób tego. I jednak przybliżyłam się, i jeszcze raz cofnęłam, i przybliżyłam, i cofnęłam, a wtedy Diego chwycił mnie jak obłąkany, rozerwał kaftanik i

Krzyknęłam

Byłabym go zabiła, gdyby można, chciałam rozszarpać i

Co mam powiedzieć?

Tu, tu, na piersi, tu czułam takie gorące wżeranie się, łechtanie, całował mnie, tysiąc mrówek rozeszło mi się po ciele aż gdzieś do mózgu, myślałam, że mi te mrówki i łyzy trysną oczyma – puść! – wołałam – nienawidzę cię – biłam go, płacząc – podły, podły! puść! – i puścił. Zerwałam się, wybiegłam z szałas. Diego za mną. – Co robisz? – krzyknął. Odpowiedziałam, żeby mnie zostawił, że nie chcę go teraz widzieć, i pobiegłam na oślep w ciemność. Księżyc już nie było, Diego ciągle wołał gdzieś za mną – wróć natychmiast! – a ja upadłam, nie podniosłam się nawet i tylko woda huczała w parowie.

Złękłam się ciemności i szumu.

Kiedy wróciłam, Diego powiedział: – Myślę, że miłość spełnia się w ofiarowaniu. Nie ma miłości bez ofiary. – Nie rozumiałam go. Przespaliśmy potem resztę nocy.

Rano przyszła do szałas ta Amaryllis. Była bosa, opalona, w krótkiej spódnicy, miała odkryte ramiona i głębokie wcięcie nad stanikiem. Pachniało od niej słońcem, wiatrem i trzodą, poczułam tę nieprzyjemną woń, gdy tylko weszła. Podobali mi się tam wszyscy pasterze prócz Amaryllis. Przyniosła dzban mleka, śmiała się i dużo mówiła, a Diego na nią patrzył. Pamiętam, że rozlewała mleko do kubków i kilka kropel pociekło jej na palce. Śmiejąc się ciągle i wykręcając na pięcie, oblizwała dłoń. Wtedy właśnie zauważyłam, że Diego na nią patrzy i że zatrzymał przez chwilę wzrok na tym głębokim wcięciu. A ta Amaryllis podeszła i dołąła mu mleka.

Już od rana Diego był bardzo niespokojny, już rano, kiedy składał swoje rzeczy do sakwy, widziałam, jak mu wszystko leciało z rąk, nie mógł zawiązać supła, rozchylił usta i drżała mu warga. A nastąpiło tego trzeciego dnia, bo już się zaczął trzeci dzień, jeszcze większe gorąco i coś w powietrzu niby rozżarzone szpilki, kłujące i łykające, czuło się te ukłucia skórą,

oczami, wydawało się, że niebo jest rozbitym na tysiące szkiełek zwierciadłem, i poszliśmy wśród takiego migotania zwierciadlanych odłamków pod górę kamienistym wąwozem.

Pasterze go nam pokazali.

Mówili: o, tam przez siodełko, tam będzie przejście.

I mówili: po tamtej stronie wypoczniecie, bo za siodełkiem będzie dobra pieczara na nocleg, znaleźć ją łatwo, ścieżka wydeptana.

Osły zostały u nich, został ten siwy, na którym dotąd jeździłam, i drugi myszaty.

Diego niósł sakwę.

Nie mogłam za nim nadążyć, takimi wielkimi krokami ruszył od razu z kotliny, gdzie spędziliśmy noc. Prawie nie oglądał się w tył, szedł pierwszy, rozdrażniony i zaperzony, widziałam to, szedł jakby sobie na przekór, zrywał się, a coraz bardziej pośpieszał. Ścieżka pięła się w górę, z początku łagodnie, potem gwałtowniej po stromiznie. Raziło słońce, upał wzmagał się z każdą chwilą, miałam sucho w ustach i czerwone krążki latały mi przed oczami. Nigdy nie byłam w takich dzikich górach, żeby same kamienie i droga prosto w niebo. Raz po raz chwiało się jeszcze coś pod nogami, bo te kamienie ruchome, kilka potoczyło się z hałasem w dół. Jak tak – myślałam – to chyba nie dojdę. Diego bez wytchnienia, krok po kroku, ciągnął wyżej i wyżej, ale widać było, że idzie z trudem, już i on zwalniał, tylko go to zaciętrzewienie, ta zawziętość, z którą rano wyszedł, popychała w górę. Raz może odwrócił się, spojrzął, a miał w spojrzeniu coś takiego, jak ranne zwierzę, wściekłość, bezsilność i strach, jakby się chciał na mnie rzucić i zadusić, i jakby nie mógł ani zadusić, ani uciec, i jakby się tylko bał, czy mu nie zadam jeszcze jakiej rany. Cały spływał strużkami potu. Poprawił sobie sakwę na plecach, poszedł dalej.

Ja niosłam dmąg sakwę. Był w niej habit.

Po co?

Bo

Nie umiem odpowiedzieć na to, proszę Wielebnych Ojców.

Wtedy też nie wiedziałam, po co niosę habit i po co w ogóle idę, a zaczynało mi się zdawać, że bez celu. Jeśli Diego już taki, to co ja z nim

Do Boga? Czy miałam prosić Boga, aby mnie uwolnił od bojaźni grzechu?

Tylko o to mogłam prosić, bo tylko grzechu pragnęłam. To teraz! Teraz, kiedy stoję tu przed Wami, Wielebni Ojcowie, teraz czuję, że powinnam była prosić, by nie wodził mnie na pokuszenie, by przywrócił mi niewinność i nieświadomość wszelkiej pokusy, ale wtedy tam, w tym wąwozie, chciałam czego innego, chciałam, żeby mnie wiodł na pokuszenie i doprowadził do grzechu, i żeby stało się t o, a traciłam nadzieję i myślałam, że nie stanie się nigdy, bo Diego tak spojrzął, jakby

Zapytałam go sama. Pierwsza zaczęłam. Mówię: –Diego, posłuchaj. – A już mieliśmy niby dojść do siodełka. Mówię: – Diego, zastanów się, czego ty chcesz ode mnie, dlaczego tak patrzysz, powiedz. – A on nic. Milczy. – Diego – zawołałam – czy Boga nie ma? – Odezwał się na to. – Bóg jest – powiada. – Więc widzisz, Diego, to przecież nie ja, to Bóg ustanawia nam zakazy. I kogo ty nienawidzisz, na kim się chcesz mścić, na kogo tak patrzysz, na Boga? – Przymknął oczy, cała twarz wykrzywiła mu się w bolesnym skurczu. – Tak, tak – powtórzył odmienionym głosem. – Bóg jest. – I tylko dyszał z rozdrażnienia i wysiłku, bo mimo skwaru zaczęliśmy się właśnie wspinać z jeszcze większym pośpiechem, myśląc, że to ostatnie kroki i siodełko tuż-tuż. Ale nie. Dochodzimy tam, gdzie miało być siodełko, i nie ma siodełka, zwiódł nas jakby próg, jakby szeroki taras wystający nad wąwozem. Patrzymy, a dopiero wyżej piętrzą się w słońcu skały i między nimi błyszczą siodełka. Diego potoczył nieprzytomnie okiem po tych górach. – Bóg jest – powiedział jeszcze raz, na wpół do mnie, na wpół do siebie. Ja znowu: – A widzisz, Diego, a widzisz? – Widzę – mówi. – I co – pytam – co mam uczynić? – Widzę – odparł już trochę od rzeczy. – Ale, Diego – powtórzyłam – co ja mam uczynić? – Wróc może do klasztoru – szepnął. – Do klasztoru, stąd? – Jeszcze

jesteśmy po tej stronie – rzekł tak samo, jak pierwszego dnia w zajeździe. – Diego, oszalałeś? – Oszalałem – powiada. I płacze. Płacze wśród tych rozpalonych kamieni, rzucił sakwę, położył się na niej, płacze pełną piersią, jak wtedy na przełęczy, drugiego dnia. – Połamałaś mnie – krzyczy – zniszczyłaś wszystko, nic nie będzie, to koniec, boję się ciebie i nie Bóg to sprawił, ty to sprawiłaś, jestem pogruchotany, bez woli, jestem garścią szczątków, którymi wiatr miota. – Nie, Diego – wołam – to nie może być koniec, ja cię Kocham, to nie może być koniec, słyszysz? – Odejdź, Dolores, wróć do klasztoru, jeszcze masz drogę otwartą. – Diego – mówię – opamiętaj się, jakże ja odejdę? I ty nie zostaniesz tu przecież, nie będziesz tak leżał w tym kamienisku. – Powoli oprzytomniał. A kiedy oprzytomniał i wziął sakwę, i ruszył dalej pod górę, pomyślałam, że to jednak może być koniec. I dopiero teraz przeraziłam się naprawdę. Czerwone koła, które miałam w oczach od upału i zmęczenia, pociemniały nagle i zaczęły się sypać czarnymi płatami, poczułam pragnienie, wody, wody, a nogi, które ciążyły mi przedtem jak dwa kłocce, stały się lekkie i słabe, zachwiałam się i do cienia, do cienia, żeby nie zemdleć, zobaczyłam cień opodał w rozpadlinie pod skałą, zesłam ze ścieżki, nie wiem, jak zlazłam na dno tej rozpadliny, a tam był śnieg i chłód, i niżej nie było już nic, tylko stromy stok i przepaść. Nagarnęłam śniegu w dłonie, zaczęłam go jeść. Diego z początku nie zauważył, gdzie jestem, dopiero później mnie dostrzegł. Rozwiązał sakwę, wyjął bukłak na wodę, schodzi z tym bukłakiem. Staralam się, by nic nie poznał po mnie, a już mi śnieg i cień zrobiły lepiej. Wzięłam bukłak, napełniłam go taką zlodowaciałą, brudną i zbryloną kaszą śnieżną. – Będziemy mieli na drogę – powiadam. Diego też się tymczasem orzeźwił, nassał lodu i umył twarz. Spoglądam ku siodełku. Jasno tam. Ani jednej chmurki. – Diego – pytam – co jest za tym siodełkiem? Czy od razu zaczyna się królestwo Francji? – Nie wiem – westchnął. – Nie wiadomo, co się pokaże po tamtej stronie. – I zaczął o tym, że nie będzie muzyki sfer; że może być gorzki piołun, że Bóg zatrul jabłko, i o tym wszystkim, co już opowiadałam Wielebnym Ojcom, o wysokim brzegu, i kto kogo zepchnie. – Pamiętasz – dodał – co ci mówiłem dzisiaj w nocy, kiedy wróciłaś do szałasów? Miłość spełnia się w ofiarowaniu. Pojmij więc. Dojdiesz do krawędzi, staniesz nad wysokim brzegiem, a ja cię nie zepchnę i nie pociągnę na dno, choćbym mógł, choćbym pragnął, choćbym według praw natury musiał to nawet uczynić i chociaż byłoby mi tak, jak gdybym zawisł nad otchłanią, uczepiwszy się brzegu jednym palcem. Nie zepchnę cię. Powiem: wróć do klasztoru. To jest moja ofiara i przecież... – Tu, jak już opowiadałam Wielebnym Ojcom, urwał wpół słowa i tylko na coś czekał z otwartymi ustami, a ja domyśliłam się, na co, zrozumiałam, że na moją ofiarę, ale zrozumiałam też, jak obłudnie ten tchórz

Bo to on bał się grzechu, chciał, żebym ja pierwsza skoczyła w ciemność, żeby jego grzech był niby mniejszy, on kłamał

I potem się przeraził, że ja to wiem, dlatego zbłądził. I zaczął o robaku, w tym pomieszaniu plątał się i przeczył sam sobie, powiada nagle: – Gdzie twoja sakwa?

Albo może już przeczuwał, co się stanie z nim na czwarty dzień, i może tego bał się bardziej niż grzechu; dziś myślę, że pewnie coś przewidywał, ale wtedy myślałam tylko: to jest koniec; i słyszałam jego słowa – dojdiesz do krawędzi, dojdiesz do krawędzi – zagryzałam wargi, nareszcie mówię: – Moja sakwa została w wąwozie. – On powiedział: – Poszukam jej, bo może się stoczyć. Odszedł. Wstałam zaraz. Do przepaści kilka kroków. Wychyliłam się, patrzę w dół: gdyby tam runąć, pewna śmierć. Uklękłam i zaczęłam powoli osuwać się na skraj zbocza, szepcząc modlitwę: - Boże, odpuść mi moje grzechy, a jeśli się ośmielę i popełnię jeszcze ten grzech ostatni

Bóg widział, że nie miałam już innego wyjścia.

Nie, nie chciałam skoczyć w urwisko, ale z tych kęp zeschłej trawy nad przepaścią mogłam się lada chwila ześliznąć, wiedziałam to i kusiłam los, szłam na kolanach, skrawek po skrawku, z modlitwą

Tak, Wielebni Ojcowie, z bluźnierczą modlitwą na ustach szłam skrawek po skrawku,

coraz niżej, i poruszyła się jedna kępa, a ja się zachwiałam, przeniknął mnie straszny dreszcz, wpiłam się paznokciami w ziemię, w korzonki traw, i one też się poruszyły, widziałam pod sobą dno przepaści, i tak na kolanach, w przerażeniu śmiertelnym, że stracę oparcie, tak już tam zostałam. I wrócił Diego. Usłyszałam kroki. Przeszedł mi jeszcze jakby krótki błysk przez głowę: skoczę. Ale nie mogłam. A kroki nagle ucichły, Diego nic nie mówił, widocznie zrozumiał, co robię. Dość długo trwała ta cisza, strach nie pozwalał mi się odwrócić i spojrzeć, utkwiałam wzrok w przepaści, zamarłam nad nią, aż coś mną znienacka targnęło, to Diego, przybliżywszy się od tyłu, chwycił mnie za ramiona i gwałtownie pociągnął. A potem powlókł siłą do takiej zakłęśłości porosłej mchami, rzucił na nie. Kiedy leżałam już w bezpiecznym miejscu, krzyknął: – Dolores, co chciałaś zrobić? – Powiedziałam cicho: – Nic, nic, Diego, nie byłabym się zabiła, tam jeszcze został kawałek do krawędzi, uważałam przecież. – Schylił się nade mną, popatrzył trochę niepewnie, z trwogą i zarazem z nadzieją, z osłupieniem i jakby coś odgadując. A ja poczułam wielką ulgę, nawet radość, że to się tak skończyło, zamknęłam oczy i chciałam tylko jednego: żeby zaczął mnie całować w ten sam sposób, co przedtem w nocy, i bodaj rozebrał do naga, i żeby się dokonało wszystko, właśnie teraz i wbrew Bogu

Nie bałam się potępienia, opadłam zupełnie z sił i uleciała ze mnie pamięć.

Tak, Wielebni Ojcowie, przyznaję się, iż byłby to grzech popełniany z umyślnym zamiarem znieważenia Boga, a zatem grzech śmiertelny.

Uleciała więc ze mnie pamięć i wszelka wola prócz jednej, żeby Diego zaczął robić to, czego zawsze chciał, żebym już poznała, co to jest i jak się spełnia, i żeby Diego musiał już potem przy mnie zostać, bo bylibyśmy złączeni duszą i ciałem, a przecież on nie wierzył w inną miłość i ja rozumiałam, że jego dusza złączy się z moją dopiero wtedy, gdy złączy się ciało. I kiedy tak leżałam na tych mchach bez władzy nad sobą i pamięci, Diego wyczuł, na co czekam. Powiedział: – Carissima! – I jeszcze raz: – Carissima! Carissima! – Szeptał jakoś bardzo tkliwie. A później przykrył mi twarz dłońmi, wnętrzem ich muskał moje powieki, usta, rzęsy, przesunął ręce ku piersiom, dotknął bioder, ud, nareszcie objął mnie całą i ten uścisk był samym szczęściem i zachwytem, ale nic więcej Diego nie zrobił, powiada: – Dolores, musimy przejść góry jeszcze przed nocą. – Mówię mu: – Dobrze, Diego. – I patrzę, a on znów taki promienny, rozświetlony jak pierwszego dnia nad strumieniem, kiedy zaczynaliśmy ucieczkę. Słońce przetoczyło się tymczasem po niebie i ogarnęło rozpadlinę. Nie wiem, ile godzin przeszło, gdyśmy tam bawili. Pewnie dużo, bo już cienie padały inaczej, ukośnie. Wstałam. Wzięliśmy sakwy i ruszyliśmy skałami pod siodelko. Ale co robić? Nie można iść, chyba czepiać się głazów rękami i wciągać na czworakach. Śmiejemy się. – Diego – mówię – kiedy tak idziesz, jesteś podobny do kota. – A ty do myszy, połknę cię zaraz – odparł. I dodał: – Co masz w sakwie? Tylko habit? Już go lepiej rzuć w przepaść, będzie ci łatwiej. – Pomyślałam: rzucę i oddam mu się wieczorem po tamtej stronie. Ale Diego uwiązał sobie zręcznie sakwę na plecach. No, to ja uwiązałam tak samo. Nie wyrzuciłam habitu. Mieliśmy potem ręce zupełnie wolne, wygodniej było się wspinać. Cała ostatnia część drogi do siodelka, chociaż trudna i urwista, mijała nam wesoło. Diego musiał mi kilka razy pomagać, bo nie mogłam zrobić długiego kroku, znowu śmialiśmy się jak dzieci i w końcu zanim spostrzeżliśmy, że to już siodelko, otworzył się widok na tamtą stronę.

Po tamtej stronie był drugi łańcuch górski.

Spytałam: – Gdzie jest Francja? – Diego wskazał palcem na ten łańcuch. Spytałam jeszcze: – Czy tam pójdziemy? – Tak – odpowiedział – tam pójdziemy.

Ale to jutro, a tej nocy chciałam tylko zostać z Diegiem i cieszyłam się, że wschodził księżyc jak ogromna głowa, krzyknęłam – popatrz, Diego! – bo chyba nigdy dotychczas nie widziałam takiej czerwonej, rozplomienionej kuli, zdawało mi się to znakiem niebios. Już po ciemku, jedynie przy świetle księżycy, odszukaliśmy zejście do pieczary, rzeczywiście była wyraźna ścieżka i pieczara niczym budynek mieszkalny, musieli tam często bywać ludzie,

znaleźliśmy naczynia, nóż i legowisko usłane z gałęzi nie bardzo jeszcze zwiędłych. Diego zaraz naciął świeżej kosodrzewiny, której mnóstwo rośnie w pobliżu. I paliliśmy ogień. Trzymałam Diega za rękę, tuliłam się do niego, a jemu w oczach, jak w lusterku, odbijały się płomienie, miał kolorową twarz, cień i blask pełgały po niej na przemian, księżyc tymczasem wleciał gdzieś wysoko na niebo, zmałał, pobladł, i od tego wszystkiego, od światła, ciepła i zapachu kosodrzewiny padał na mnie coraz osobliwszy urok, i zrobiło mi się tak, że musiałam coraz mocniej ścisnąć dłoń Diega, bo jeszcze przypominałam sobie naszą drogę i tamto nad przepaścią, a Diego był obok, i coraz gwałtowniej coś mnie do niego ciągnęło, coraz niespokojniej, coraz, no, już nie wiem sama, już trudno – myślałam, i w tej pieczarze Diego się rozebrał, zobaczyłam nagie plecy, biały był, to przecież mężczyzna – myślałam, i nogi, a potem zaraz do mnie, położył się, i tak oboje na gałązkach kosodrzewiny – kochasz? – kocham – szeptamy, i zaczęłam zdejmować ze mnie

Ale jak ja Warn to. Wielebni Ojcowie

Obnażył mnie po pas i od razu przestał słyszeć, rozumieć, wołał coś, jedno słowo – kamelia, zasłaniałam się przed jego wzrokiem, a on – kamelia, kamelia, opętało go to, poczułam, że oddycha szybko, natarł na mnie całym ciałem, oplótł rękami, owiał tym niecierpliwym oddechem i wtedy zlekłam się, co może być za chwilę, bo przecież nic nie rozumiał, tylko w obłędzie, w zapatrzeniu na moją nagość powtarzał – kamelia, nie miałam się gdzie przed nim schronić i mimo woli lgnęłam właśnie do niego, więc zagarniał mnie wciąż natarczywiej, zlekłam się tej siły, a sięgał już po resztkę mego ubioru, by ją zedrzeć, i wtedy coś mnie tknęło, że trzeba mu to powiedzieć, póki czas, i szepnęłam: – Diego nie chcę nic więcej zdjąć z siebie, pamiętaj, nie rób mi tego. – Ale on jakby nie słyszał. – Tak, tak – wołał. I znów: – Kamelia! – Diego, słyszysz? – Dobrze, dobrze – odpowiadał, zachłyśnięty, oszołomiony czymś. Wiedziałam, że mną, i dziwiłam się, że przez moje ciało tyle szaleństwa, cieszyłam się, i jeszcze, Wielebni Ojcowie, z tej próżności zapytałam, czy naprawdę jestem taka ładna i mogę się tak podobać, bo mi się zdawało, że nie, a Diego zaczął krzyczeć: – Piękna! – Odtąd już to słowo powtarzał wiele razy, jak wpierw – kamelia, z nieprzytomnym uporem, na wpół majacząc: – Piękna, piękna! – I

Przysięgam, Wielebni Ojcowie, niczego nie staram się przed Wami ukryć, ale wstydlivość i sama natura powstrzymują mi język.

Bo później on sprężył się cały i runął na moje uda, i chciał je zupełnie obnażyć, szarpał, szarpał z tym krzykiem – piękna, piękna! – i było tak, jakby mnie dotknął rozpalonym żelazem – nie! – zawołałam, a on – piękna! – a ja – nie! – a on – teraz, o, teraz bądź moja! – a ja w rozpaczliwym skurczu, który mnie chwycił od kolan przez wszystkie wnętrza aż po krtań, broniłam się tylko zębami, a on wciąż wołał – piękna! – i – Dolores, co robisz? – a ja nie wiedziałam, co robię, i z tej wściekłości, że mnie poruszył rozpalonym żelazem, i że musiałam się oprzeć, choć przedtem pragnęłam ulec, z tej wściekłości, że wszystko tak się stało, pokąsałam go, poraniłam do krwi, a Diego jeszcze coś wołał tym błędnym, jednostajnym głosem, i nagle znieruchomiał. Wtedy dopiero zrozumiałam, że mówi już co innego, i dosłyszałam jęk: – Dolores, dlaczego? Dolores, dlaczego tak, dlaczego tak? – To teraz powtarzał, jak przed chwilą „kamelia” i „piękna”. Nic mu nie odpowiedziałam.

Wody

Pozwólcie mi się napić. Wielebni Ojcowie.

Nie potrafiłam odpowiedzieć na pytanie, które zadał. Myślałam tylko: niech mu odpowie Bóg. Ale to właśnie, żeby mu odpowiedział Bóg, Diego już raz ode mnie słyszał, znacznie wcześniej, zanim uciekłam z klasztoru. Musiał te słowa pamiętać. Powiedziałałam je kiedyś w kościele Santa Cruz. Nie byliśmy wtedy umówieni. Widywaliśmy się zazwyczaj gdzie indziej: w teatrze u komediantów. Spotkania naznaczyliśmy na rano, gdy trefnisie i grąjkowie wałęsali się po mieście, a Diego czuwał w namiocie nad strojami tych wesołków i pisał. Mogłam zachodzić do teatru niepostrzeżenie. Było mi po drodze od Miguela, piekarza. Tam

więc umawialiśmy się zazwyczaj. Lecz w dzień, o którym chcę opowiedzieć, Diego przyszedł do kościoła Santa Cruz. Spotkałam go w nawie bocznej przy ołtarzu Najświętszej Panny Marii. Uklękliśmy zaraz, niby do modlitwy. Spytałam: – Wiedzieliście, panie, że tu będę? – Powiada: – Tak, Sostro. –Przeczuwałam już coś niedobrego. Mówi: – Całą noc pasowałem się z sumieniem. Komedianci jadą w tych dniach do Burgos, postanowiłem z nimi wyjechać. – Przerazenie zaparło mi dech. – Jak to, panie? –rzekłam. – Czyżbyście chcieli powiedzieć, że zamierzacie wyjechać na zawsze? – Na zawsze, Sostro. – Czy to przeze mnie? – spytałam jeszcze. –Tak – odparł. I dodał: – Boję się, by wkrótce nie było za późno, albowiem nie ma takiej rzeczy, której człowiek nie mógłby uczynić w słabości swej natury. Zbliżamy się, Sostro, do bram piekła i kusi nas, aby tam zapukać, a kto kołacze do bram piekła, temu się one otworzą. – Tymczasem z zakrystii wyszedł ksiądz, i, mijając nas, przyklęknął przed ołtarzem. Diego umilkł. Nie mogliśmy rozmawiać swobodnie, bo dużo ludzi kręciło się w kościele. – Jak to, panie? – szepnęłam znowu, gdy opustoszało. – Czy postanowiliście wyjechać właśnie po tym, co zrobiliście wczoraj? – A w przeddzień byłam u niego w namiocie komediantów i całowaliśmy się tam pierwszy raz. – Właśnie po tym rozliczałem się długo z sumieniem – rzekł. – Powiedziałem sobie: Ślepcze, idziesz po omacku i prowadzisz za rękę dziecko, które nie wie, co je czeka u kresu drogi. Nie wolno ci doświadczać jego niewinności. Pożegnajmy się więc. Sostro, i niech spotkanie u tego ołtarza Przenajświętszej Dziewicy będzie ostatnie w naszym życiu ziemskim. –Wiedziałam, że to, co mówi, jest słuszne i sprawiedliwe, ale czułam tylko jedno: że muszę go zatrzymać. Klęczeliśmy z opuszczonymi głowami i nabożnie złożonymi dłońmi, nie śmiejąc na siebie spojrzeć. Raz po raz przechodził ktoś koło ołtarza. Półgłosem, rzekomo zatopiona w modlitwie, powiedziałam jedyne słowa, jakie mogłam wydobyć z gardła: – Nie wyjeżdżajcie, panie. – On na to: – Sostro, muszę. – Jeśli wyjedziecie, zgubicie mnie właśnie tym. – Jeśli wyjadę, ocale was. – Chciałam powstrzymać go od wyjazdu bodaj na krótko. Byłoby mi łatwiej znieść rozstanie, gdyby odszedł nie z własnej woli, lecz z mojego namysłu, w chwili przeze mnie wybranej, a zdawało mi się, że potrafię jeszcze tę występłą miłość przemóc i że uczynię to rychło. Ale pora i miejsce nie były odpowiednie, by długo rozmawiać. – Nie wiem, co będzie – rzekłam – jeżeli wyjedziecie. Zostańcie, błagam was. Nie można już chyba o nic prosić straszniej, niż ja tutaj proszę. Wszak nie do Matki Bożej modłę się, lecz do was, czy nie widzicie? – Jakby się zapadł po moich słowach, jakby się pod nimi ugiął i w tym pochyleniu dotknął czołem podestu ołtarza. – Dolores – odezwał się po chwili – czy ocalenia nie ma? – Niech wam odpowie Bóg – szepnęłam wówczas tak samo, jak chciałam teraz w pieczarze, kiedy, nagi, powtarzał błędnym głosem jedno pytanie: dlaczego tak? Ale nie mogłam powiedzieć tego po raz wtóry, bo on musiał to pamiętać z kościoła Santa Cruz. Wtedy, w tamtym kościele, dodałam jeszcze na koniec – nie skazujcie mnie, panie – i on został, nie wyjechał z komediantami, a teraz w pieczarze, po wszystkim, co się stało, nie pragnęłam już niczego, byłam pusta, milczałam.

I nadszedł ranek, dzień czwarty.

Z początku. Wielebni Ojcowie, nie rozumiałam, na co się zanosi. Ten dzień zaczął się zwyczajnie. Może i Diego nie był całkiem świadom, co robi. W ogóle nie mówiliśmy tym i zachowywaliśmy się tak, jakby wszystko miało trwać po staremu. Diego wstał, poszedł po wodę do strumyka, który tam w pobliżu płynął. Zakrzętnęłam się wokół posiłku. Diego wrócił, usiadł na kamieniu i naprawiał sobie pantofel. Ranek był pogodny, spostrzegłam tylko, że nad szczytami po stronie francuskiej gromadziły się ciemniejsze obłoki. Powiedziałam: – Chyba będzie burza. Ani kropla deszczu nie spadła, od kiedy jesteśmy w drodze. – Nie będzie burzy – sprzeciwił się Diego. Jedliśmy na śniadanie sery, których dwie duże gomółki dała nam onegdaj ta Amaryllis. Czuliśmy się zmęczeni po nocy i wspinaczce, pobolewały mnie nogi, a Diego miał cień w oczach. Zanim wyruszyliśmy, leżał długo na trawie i patrzył w niebo. Tymczasem wiatr rzeczywiście rozpędził chmury po stronie

francuskiej. Zrobiło się tam jasno i za łańcuchem gór ukazały się w promieniach słońca dalekie, przymglone krajobrazy. Zawołałam: – Spójrz, Diego, widać już ziemie królestwa Francji. – Oboje zwróciliśmy ku nim wzrok. Nie można było wiele rozróżnić, pola i wzgórza ginęły w smugach srebrnego światła i zlewały się na nieboskłonie z błękitem. Pomyślałam, że wygląda to pięknie i że nie zdziwiłabym się, gdyby naprawdę w królestwie Francji rosły same gaje migdałowe, padały złote deszcze i kwitły nenufary. Diego podniósł się wreszcie, bez pośpiechu związał sakwę. – Musimy już iść – rzekł. Poszliśmy. Wciąż jeszcze nie rozumiałam co się dzieje. Dopiero po chwili zmiarkowałam, że idziemy znów tą samą ścieżką, którą poprzedniego dnia zbiegaliśmy z siodełka do pieczary, tylko kierunek był teraz odwrotny: pod górę. Zaniepokoiłam się, czy Diego nie pomylił drogi. – Nie – zachnął się – nie pomyliłem drogi. – Zaczynałam z wolna wszystkiego się domyślać. Oczywiście prowadził mnie na siodełko, ale po co? Czy chciał wracać do Hiszpanii? Wołałam już o to nie pytać. Pojęłam jakby sercem, nie rozumem, całą prawdę o nim, nie o sobie. Zdawało mi się, że zawiniłam. Było mi bardzo żal Diega.

Tylko w pierwszej chwili przełękałam się tego powrotu. Ale raczej spłynął na mnie smutek, taki najgłębszy, od którego człowiek najchętniej by się położył i bił głową o ziemię, taki smutek wtedy na mnie spłynął. A przełękałam się tylko w pierwszej chwili, bo prawie od samego początku nie wierzyłam w nasz powrót i wiedziałam, że jeśli zechcę, mogę jeszcze zatrzymać Diega, mogę stanąć, powiedzieć – o, tu, Diego, masz mnie, będę twoja – i rzeczywiście oddać mu się natychmiast w tym słońcu, na jakiej bądź kępie trawy, i tą ofiarą, jak mówił, zawrócić go z drogi do Hiszpanii.

Musiałam, Wielebni Ojcowie, musiałam tak myśleć i musiałam to zrobić. Nic innego nie mogło mnie uratować przed powrotem, a przecież kamień do szyi

O, Wielebni Ojcowie, na mój umysł padło wtedy zupełne zaćmienie. Wzdrygam się to nawet wyjawiać, ale skoro już tak pokornie przyznaję się do wszelkich grzechów, powiem Wam, że, owszem, czułam skruchę i potrzebę pokuty, tylko w tej ślepotcie wszystko mi się pomieszało, czułam skruchę wobec Diega, zdawało mi się, że muszę swoją winę odpokutować nie przed Bogiem, lecz przed nim.

Bo to było tak: po spotkaniu w kościele Santa Cruz próbowałam przez kilka dni zdusić w sobie tego raka, który mnie zżerał. Modliłam się wtedy dużo i nie poszłam ani razu do namiotu. Aż tu kiedyś w rozmowie z Siostrą Modestą zgadało się o czymś, już nie pamiętam o czym, a Siostra Modestą mówi: – Dziś wyjeżdżają komedianci. – We mnie jakby strzelił piorun: czy jednak Diego nie wyjedzie z komediancami? Na nic nie zważając, pobiegłam do teatru. Sama nie wiem, jak mi się udało przemknąć przez bramę klasztorną i później wejść ukradkiem między te derki, rozpięte na krzyżakach, do namiotu, gdzie siedział Diego. Sama nie wiem, skąd wzięłam w sobie tyle śmiałości, by nie uciec, gdy zobaczyłam w namiocie obcych ludzi. Diego, bardzo zmieszany, zerwał się zaraz i trochę sztucznie – na wieki wieków – bąknął - kogo Siostra szuka? - Muszę wam, panie, coś powiedzieć – rzekłam. A wszyscy komedianci, którzy tam byli, spojrzeli po sobie. Jeden zagwizdał. Wydało mi się, że była drwina w tym gwizdaniu albo jakiś szelmowski znak. I potem natychmiast wyszli, bo niby mieli ładować wozy, wyjeżdżali przecież tego dnia. Ale nim wyszli, ten, który przedtem gwizdał, powiedział z uśmiechem: – Więcej niż trzy pacierze nie zmawiaj, Diego, żebyś nie musiał później piechotą iść za nami do Burgos. – Z tym znikł za derką. – Na miły Bóg – szepnął Diego – co Siostra robi? Wszystko się teraz wyda. Siostra nie może tu zostać. – Zapytałam go: – A wam, panie, o co idzie? – Jak to? – powiada. – O cóż by mi szło, jeśli nie o spokój i niewinność Siostry? – O moją niewinność czy waszą? – Jak to? – powtórzył. – Nie zasłużyłam na posądzenie... – Tak, tak, nie zasłużyliście, chcecie mnie porzucić dla czystości sumienia, jesteście, panie, aniołem bez skazy. – Dolores, co ci się stało? – zawołał. Ja na to: – Przyszłam tu, niczego się już nie boję, to się stało. – Upadł przede mną na kolana. – Możemy zrobić tylko jedno – rzekł. – Możemy oboje uciec, póki nam ziemia nie zacznie się palić pod

nogami. – A wciąż oglądał się niespokojnie i nasłuchiwał odgłosów spoza namiotu. – Niech tak będzie – powiedziałam. Uściskał mnie. – Carissima, rozumiesz, co czynisz? – Rozumiem, Diego. – I umówiliśmy się, że spróbujemy się przekraść przez Pireneje do królestwa Francji, że on kupi osły, i wyznaczaliśmy dzień i miejsce przy moście w zagajniku

Ja byłam winna. Wielebni Ojcowie. On był bez winy.

Kiedy podchodziliśmy z powrotem na siodełko, wiedziałam, że to nie może się tak skończyć. Chciałam, żeby coś przeszkodziło nam w drodze, żebyśmy musieli się cofnąć i pozostać jeszcze przez dzień i noc w pieczarze. Modliłam się o burzę. Ale nie było burzy. Do południa chmury zginęły bez śladu w błękitach tego jasnego, jak zawsze, nieba. Przeszliśmy tymczasem siodełko, spojrzałam ostatni raz na Francję, a za siodełkiem, gdyśmy tamtędy schodzili w dół ku szalasom, prażył znów nieznośny upał, znów powietrze migotało, piekło w oczy i kłuło. W ogóle wszystko powtarzało się drugi raz. Diego mówił: –Więc widzisz, Dolores, nie Eden, tylko Gehenna, jesteśmy potępieni. – A ja mówiłam: – Nie, Diego, to nie może się tak skończyć. – Ale nie chciałam powiedzieć nic więcej, bo mogłby pomyśleć, że jeszcze raz łudzę jego i siebie, bałam się już drażnić go obietnicami, czekałam jedynie sposobności, aby je spełnić, i czułam się rzeczywiście jak ów potok kamieni, o którym Diego mi przedtem opowiadał.

Tak aż do szalasów

Pasterze zdziwili się i ta Amaryllis przybiegła zaraz, pytają, co się stało, Diego powiada: – Nic, wracamy. Gdzie osły? – Są osły, ale przecież nie ujedziecie daleko przed nocą, nie widzieliśmy tu jeszcze takich jak wy, czyście drogę zgubili, czy co? – Spodziewałam się od początku, że trzeba będzie zostać u tych pasterzy na noc, chciałam, żeby tak wyszło, myślałam: nazajutrz pójdziemy znowu przez siodełko na tamtą stronę. A Diego patrzył na mnie i odgadywał czego chcę. Uśmiechał się nawet, ale inaczej niż poprzedniego wieczora, inaczej niż dwa dni wcześniej u tych samych pasterzy, inaczej niż na przełęczy pod jodłami, kiedy wołał „twoja chmurka”, inaczej niż pierwszego dnia, gdy mówił „słodszaś mi od miodu hymeckiego”, uśmiechał się jakoś gorzko i podejrzliwie. Może wszystko przewidywał. I po wieczery ta Amaryllis przygotowała nam znów posłanie w swoim szalasiu. A Diego ciągle o czymś myślał i poruszał bezwiednie ustami. Miał to już w naturze: gdy się zamyślał, poruszał lekko ustami, jakby te skryte myśli gryzł. Więc zapytałam go jeszcze: – Diego, czy mi nie wierzysz? – Powiedział: – Wierzę. – Ale wyczułam, że boi się nocy, która nadchodziła, albo jej nie chce, tylko mi tego nie mówi. Poszliśmy jednak do szalasu i tam dopiero całował mnie, też inaczej niż zawsze, jakoś ostrożnie, z wahaniem, jakby już mniej pożądał tych pocałunków i jakby coś innego zaprzętało mu głowę. Spytałam znowu: – Diego, czy wciąż jeszcze chcesz, żebyśmy to zrobili? – Powiedział: – Tak. – I nastąpiła wtedy jedna chwila, jedno krótkie oka mgnienie, kiedy ostatni raz byłabym się mogła cofnąć.

Ta chwila, proszę Wielebnych Ojców, nadeszła, gdy zrzucałam z siebie odzienie, bo Diego nawet nie zbliżył się do mnie, nie popatrzył, nie drgnął, ale i nigdzie się nie oddalił, tylko po prostu był obok, a to sprawiło mi największą przykrość i właśnie przez oka mgnienie pragnęłam zapaść się pod ziemię, uciec, zwątpiłam o wszystkim, lecz musiałam jednak przekonać Diega, żeby mi uwierzył, więc się przemogłam, sama przyciągnęłam go do siebie, nie wolno mi już było stchórzyć, przyciągnęłam go gwałtownie, wtuliłam się w jego ciało natarczywie, z pośpiechem, chciałam zapomnieć, co robię, i on miał rację, że przed tym skokiem zamyka się oczy, zamknęłam je i czekałam, ale nie na upadek w ciemność, raczej na coś podobnego do błyskawicy, na światło i huk. Diego wydawał się trochę zdziwiony i niepewny, słyszałam, jak wstrzymał oddech w moim uścisku, a potem coś powiedział zmienionym głosem. Nie próbowałam nawet zrozumieć, wyobrażałam sobie to, co miało się stać za chwilę, tę burzę z piorunem, który we mnie trafi, tak sobie jakoś to wyobrażałam i lękałam się tylko bólu, nie grzechu. Pamiętam, że Diego otrząsnął się nagle z obezwładnienia i poczułam w nim wewnętrzne musowanie, obejmował mnie taki spieniony, tętniący,



pamiętam ciepło, ciężar i jakby trzepot skrzydeł wielkiego ptaka, i pocałunki, jakby drapieżny ptak wpijał się dziobem, było mi z tym źle, już i to nawet bolało, ale się nie broniłam, tylko mocniej zaciskałam powieki, a przez Diega przepływały ciągle te prądy, wyraźnie je słyszałam, i wtedy, chcąc zarazem i nie chcąc otworzyłam się przed nim cała, żeby mi zrobił to i żeby mnie miał tak, jak pragnął. Spodziewałam się jakiegoś ciosu, ostrego szarpnięcia, wstrząsu, może męki, ale nie, nic nie było

Dobrze, proszę Wielebnych Ojców, powiem wszystko.

Czułam tylko ucisk i takie krótkie, drażniące podpalanie, krzyknęłam – Diego! – i to był koniec, Diego znów osunął się bezwładnie i ciężko oddychał, pomyślałam, że przecież nie ma rozkoszy w tym grzechu, ale powiedziałam: – Widzisz, Diego, spełniło się, miałeś mnie tak, jak pragnąłeś. – A Diego wtedy szepnął: – Nie, Dolores, nie przeszliśmy jeszcze na tamtą stronę, to nie było to. – Zdumiałam się, bo jakże nie to? Więc co? Czego chciał? Lecz po chwili wydało mi się, że może to naprawdę nie było jeszcze to. I on znów zaczął szukać tej jakiejś innej rzeczy, która się przedtem nie spełniła, a szukał jej tak samo, tylko niecierpliwiej, jakby z rozpaczą, męcząc się, i ja znów czekałam, gotowa na ból i na wszystko, żebyśmy już poznali tajemnicę złego i dobrego, jak on kiedyś mówił, i uwolnili się od takiego ściskającego gardło żalu, że to nie było to. O niczym wtedy nie pamiętałam. Wielebni Ojcowie, ani o Bogu, ani o piekle, ani o Was, o niczym prócz tego jednego. Spytałam, czy nie jestem winna, że nie przeszliśmy na tamtą stronę, jak on to nazwał, ale Diego nie odpowiedział wyraźnie, zaczął naraz wołać coś bez związku – mówiłem! mówiłem! – był jakby nieprzytomny, jakby chory, dygotał, i wciąż nacierał na mnie aż do utraty tchu, zdawało mi się, że cierpi, słyszałam gwałtowne bicie jego serca i nagle przestraszyłam się, bo słabł w moich objęciach, zgrzany, wilgotny, i pojęłam, że opada z sił jak porażony, gdy się do mnie zbliża, i nie może zrobić tego, czego chce. – Mówiłem! – krzyczał. – Robak! Mówiłem, że będzie robak. – Ale, Diego – rzekłam – uspokój się. Co cię opętało z tym robakiem? Przecież nie musimy nic robić, kiedy samo ciało się wzdryga, nie widzisz? – Widzę – powiada. – Robak! On tak smakuje. – Chciałam tylko wiedzieć, czy we mnie jest coś, co go mrozi i przyprawia o słabość, czy on to już ma w samym sobie, ale mi nie odpowiedział, uparł się, że je robaka, nic więcej nie mówił, dopiero następnego dnia

Tej nocy był taki martwy do końca, aż do świtu. Miotał się i bluźnił, gryzł się chyba tym wstydem i przerażeniem, że osłabł, żałowałam go – po co ty się tak gryziesz, Diego? – wpadał tylko w jeszcze większą złość, a gdy milkł, słychać było szum potoku w parowie, pamiętam ten szum, nic się już nie zmieniło. Wielebni Ojcowie, to wszystko.

Piątego dnia o wschodzie słońca przyleciała znowu do szałasu ta Amaryllis, wniosła, jak za pierwszym razem, dzban mleka, ale w istocie przyszła po to, żeby świecić zębami, i co ona zrobiła, ta bezwstydnica! Otarła się umyślnie o Diega i on do niej powiedział: – Amaryllis! – tak ją nazwał, tym imieniem.

Piątego dnia okazało się, że Diego chce rzeczywiście odprowadzić mnie na dół do Hiszpanii. Po tej nieszczęśliwej nocy nie zatroszczył się nawet, czy będę mogła wrócić do klasztoru, postąpił jak nikczemnik, zaciął się tylko w złości i zgryzocie, pokazywał palcem niebo i mówił: – To On! – niby wygrażał samemu Bogu, ale w oczy wołał mi nie patrzeć, bał się. Nic nie wyjaśnił, nie wytłumaczył, nie zapytał, co ja na to, po prostu odebrał pasterzom osły i – wsiadać! wsiadać! jedziemy! – zawołał, a ja wsiadłam, bo cóż mogłam zrobić, nie chciał przecież o niczym słyszeć, tak się zawziął w tym swoim szaleństwie, w tej nieprzytomnej woli powrotu.

Ale pamiętam, spojrział na nią.

Mimo szaleństwa i rozpacz, mimo że zdawał się zupełnie obłąkany i był ślaniającym się, bolesnym cieniem samego siebie, spojrział na tę Amaryllis. W ostatniej chwili przed odjazdem, gdy już osły ruszały i gdy ona przybiegła, żeby mu oddać niepotrzebne drobiazgi, porzucone w szałasie, spojrział na nią tak jak kiedyś na mnie podczas naszego pierwszego

spotkania.

Nie znaleźliśmy się jeszcze wtedy. Przechodziłam ulicą, wracając od Miguela, piekarza. Diego stał przed oberżą. I popatrzył. Nic więcej nie zrobił. Rozchylił nieco usta, lecz wydawało się, jakby jednocześnie przestał oddychać i tylko wiele rzeczy pomyślał. A było w tym spojrzeniu, w tych rozchylonych ustach i zatrzymanym oddechu coś, co przypominało człowieka, który chciałby pić i który nagle, gdzieś daleko przed sobą, zobaczyłby jezioro. I jeszcze wydawało się, że gdyby oberża i wszystkie domy wokół Diega znienacka runęły i zapadły się pod ziemię, on by tego nie zauważył, ale zostałby nieporuszony, wciąż jednakowo patrząc.

Tak właśnie spojrział przed odjazdem na tę Amaryllis.

I ja to widziałam.

A potem wracaliśmy przez upłaz do przełęczy z jodłami, wracaliśmy bardzo szybko i myślałam, że Diego zajeździ biedne osiołki na śmierć.

Nic poza tym nie myślałam. Wtedy już naprawdę było we mnie całkiem pusto.

Ciągle trwał taki dziwny upał, jaki rzadko się zdarza w naszych górach, ale tego ostatniego dnia powietrze zgęstniało jeszcze bardziej od żaru i duszności. Ani jeden obłok nie pojawił się na niebie, tylko całe niebo zbieleło i właśnie z tej bieli spływał jakby gorący klej, od którego robiło się czarno w oczach.

Dopiero na przełęczy Diego przemówił. Najpierw długo międlł w ustach myśl, nim się odezwał. Widziałam, że coś żuje, żuje i nie może przeżuć, usta mu chodzą, a on się skręca, zielenieje, blednie i coś dusi, dusi jakiegoś potworka, który go toczy. Nareszcie powiada: – Ja tego nie mam w sobie. – Czego? – Słabości. – Ale tak to mówi, jakby mnie chciał zdeptać, mówi złośliwie i na wpół radośnie, żebym wiedziała, że nie, skądże, on wcale nie ma tego w sobie, chyba ja mam, powinnam się gryźć sama. I patrzy. Czeka, co ze mną będzie. – Więc ja mam to w sobie? – spytałam. A on: – Nikt z nas nie ma tego w sobie. Ale Bóg jest! – Cóż tu Bóg? – zdumiałam się. – Bóg stworzył robaka – powiada. – I ze świstem zaciął osła, puścił się pędem z przełęczy. Teraz dopiero, zjeżdżając w dolinę, wybuchnął: – A wiesz, Dolorosa, co zrozumiałem? Nie ma przed Bogiem ucieczki. A wiesz, Dolorosa, z czego powstaje Bóg? Ze strachu. Gdyby Go nawet nie było, powstałby z czyjegoes strachu. I On tu powstał z twojego strachu, i poraził mnie słabością, i pokazał, że nie ma przed Nim ucieczki przez Pireneje – tak wykrzykiwał, podrygując śmiesznie na osiołku, myszaty, bo myszaty go niósł – to właśnie zrozumiałem, że można próbować przed Nim uciec, ale On powstanie ze strachu i objawi się w porażeniu słabością, i dlatego jesteśmy zawsze w ręku Boga. – Diego – wołałam – opamiętaj się, po co tak bluźnisz? – Módlmy się! – rzekł. A ja tylko błagałam: – Opamiętaj się! – Umilkł w końcu, już na samym dole, gdzieś blisko zajazdu, w którym pięć dni wcześniej spędziliśmy pierwszą noc. Miałam nawet błysk nadziei, że może się rzeczywiście opamięta, że mu jeszcze to zmacenie przejdzie. Pora była południowa, w takim pędzie przejechaliśmy całą drogę od szałasów pasterskich. I nagle stała się rzecz straszna. W ciszy odezwał się dźwięk. Wiatr przyniósł go z nizin gaskońskich do gór: w jakimś dalekim kościele zadzwoniono na Anioł Pański. Ledwo było słyhać ten głos, bo dolatywał z wielkiej odległości, ale wiedziałam, co zwiastuje. – Diego – rzekłam – ocknij się, to przecież ostatnia chwila. Gdzie mnie wiesz, komu chcesz mnie oddać? – Bogu – szepnął.

Rozstaliśmy się, proszę Wielebnych Ojców, przed wieczorem. Nie spodziewałam się, co Diego zrobi na końcu. Po całym dniu tej szalonej gonitwy mieliśmy jeszcze do rogatek może godzinę jazdy, a słońce skłaniało się ku zachodowi. Nie wiem sama, jak osiołki wytrzymały to wszystko, ale już na widnokregu błyszcząły wyraźnie wieże kościoła Santa Cruz. I wtedy Diego powiedział, że on do miasta nie wejdzie. – Jak to? – spytałam. – Więc gdzie się podziejiesz? – Gdziekolwiek – odparł. Nim zdołałam ochłonać, pożegnał się z pośpiechem, zawrócił osła i ruszył znowu w tamtym kierunku, z któregośmy dopiero co przyjechali, a mnie tak zostawił na drodze. Nie próbowałam go zatrzymać. Otepiałam zupełnie. W

pierwszej chwili nie pomyślałam nawet o tym, co sama zrobię, tylko gdzie on jedzie.

W pobliżu rósł laszek. Gdy Diego znikł po przeciwnej stronie, przyszło mi do głowy, żeby się ukryć w lasku. Poprowadziłam tam osiołka i usiadłam pod jakimś drzewem. Osiołek powąchał trawę, zaczął się paść. A ja do sakwy. Zdjęłam hajdawerki, nałożyłam habit. I nic. Nie płacę, nie modłę się, tylko tak siedzę. Naraz obleciał mnie strach: co dalej? Przecież noc. I wyszłam stamtąd. Wyjechałam znów na drogę.

Dziwna siła zaniósła mnie pod rogatki. To się odbyło bez mojej woli, jakby samo. Dopiero przed wejściem do miasta zrozumiałam, gdzie jestem, i struchlałam. Straże stały na rogatkach. Zabrakło mi odwagi, żeby się przybliżyć. Ale oni już mnie widzieli. I kiedy się ruszyli i zaczęli iść z pochodniami i halabardami, pomyślałam, jak Diego mógł zrobić to, co zrobił, dlaczego odszedł, i

Nie wiem, proszę Wielebnych Ojców.

Myślę czasem, że może wcale nie ma go w Hiszpanii. I jeszcze myślę, czy nie pojechał z powrotem w góry do tej Amaryllis.

A oni przyszli z rogatek. I okazało się, że wiedzą, kim jestem, jakby już na mnie czekali, i że nie wolno mi dalej postąpić kroku, tylko pod tymi halabardami mam być prowadzona i wydana Świętej Inkwizycji. A resztę, Wielebni Ojcowie, wiecie, co było i co ze mną czynili, zanim tu przed Wami stanęłam to zeznań.

## II

O–la–la!

Czy mogę zapalić teraz papierosa?

Przyznam się do winy. Powiem wszystko. To będzie fikuśna historia.

Proszę nie podawać mi ognia tak uprzejmie, z demonstracyjną skwapliwością. Oszczędźmy sobie sztucznych gestów przynajmniej w tej chwili.

Dziękuję, mój prefekcie. Proszę się nie denerwować. Biorę winę na siebie, powtarzam.

Który to już dziś, François? Czwarty? Piąty? O–la–la! Nie wiem nawet, ile dni tu jestem. Zaraz... Wieczór w bistro – to sobota. Rogaliki z kminkiem – niedziela. Żyły chciałam sobie przeciąć w poniedziałek, modliłam się we wtorek, czyli dzisiaj jest środa, a zatem piąty dzień w tym zamknięciu. Proszę się nie denerwować, mój prefekcie. Jestem aktorką.

Podalam prawdziwe nazwisko i mam autentyczne dokumenty. A co się tyczy Diega, to on istnieje! Nie kłamałam choćby dlatego, żeby zobaczyć miny waszych flików. Były dość głupie.

Cóż właściwie mogłam odpowiedzieć na pytanie, które mi zadali? – Z jakiego powodu przekroczyła pani granicę? – I te mordki, te wąsiki, te uszka! Bidule moje – pomyślałam – króliczki moje, taś–tasie, nie wiedzą nawet z jakiego powodu, i tylko uszkami strzygą, dzióbaski. Więc powiedziałam, że to, co ich tak dziwi, zrobiłam z miłości do pewnego malarza, który uciekł już wcześniej, a jedynym moim celem jest ścigać go tu we Francji. Zbaraniały króliczki, jak zaczarowane, tylko jeden zamrugął i zmienił się w chytrego liska. Całkiem niepotrzebnie, bo mówiłam prawdę, mój prefekcie. Ale ten lisek chciał natychmiast dowiedzieć się reszty o mym przyjacielu: nazwiska, dokładnego adresu i szczegółów życiorysu, a także był ciekaw, jaki rodzaj stosunków łączy mnie z tym obywatelem hiszpańskim. Odpowiedziałam, że są to sprawy całkowicie prywatne. – Nie, madame, przebywa pani na terytorium francuskim, prawo pobytu nie zostało pani przyznane, pozwoli pani zwrócić sobie uwagę, iż uchodźcy są kłopotliwym ciężarem dla naszych władz, gdyby jednak ktoś zobowiązał się udzielić pani gościny i gdyby jego stan majątkowy nie budził zastrzeżeń, wówczas... –Rozumiem panów – przerwałam te objawy życzliwości.

Nie mogłam powoływać się na Diega w takim sensie, jakby to miał być po prostu mój przysły żywiciel, którego stan majątkowy będzie sprawdzany przez policję. Nie mogłam też doprawdy wskazać adresu, pod którym wystarczyłoby mnie zameldować, aby policja pozbyła się kłopotu, na co czekały taś–tasie. Nie powinnam była w ogóle mówić o Diegu i nie mówiłabym teraz, gdybym nie chciała po wszystkim, co zaszło podczas ostatnich pięciu dni, dać dowodu prawdy i oczyścić się z pewnych... Ale ty, Francois, nie obawiaj się, to nie będzie wymierzone przeciwko tobie.

Oczyścić się! Paradne, co? Niezłych wyrażonek używam w tej sytuacji.

Słuchaj więc, François. Diego istnieje. I ja przyjechałam do niego. A to, że obrałam drogę cokolwiek okrezną i znalazłam się tutaj, jest dziełem przypadku. Tak, François, jest to dziełem jednego z tych przypadków, o których niełatwo mówić, ponieważ pewne rzeczy może człowiek bezwiednie robić, lecz nie może uwierzyć, że je robi, a tym bardziej nie potrafi przed nikim uzasadnić swego postępowania. Nie wiem, czy zauważyłeś to kiedykolwiek, François. Nasza świadomość poczuwa się tylko częściowo do niektórych naszych, że tak powiem, niekonsekwencji, podobnie jak na przykład nasz organizm identyfikuje się tylko częściowo z protezami. A zatem niektóre nasze uczynki pozostawiamy ostrożnie poza sumieniem i pamięcią, jakby niezupełnie do nas należały. Jeśli cię to urządza, François, gotowa jestem przyznać, że są to przeważnie wielkie świństwa, ale niekoniecznie. Gdybyś wolał, miło mi będzie poczytywać je za uczynki wyjątkowo budujące, na co, jak widzę, też się krzywisz. Trudno ci dogodzić, chociaż tak mało jeszcze rozumiesz.

Mniejsza o to. Diego istnieje – powtarzam. Właściwie mogę się tylko domyślać, że istnieje. Nie mam nawet pewności, czy rzeczywiście zbiegł do Francji. Pamiętam go raczej z ostatniego wieczoru w Hiszpanii.

Pamiętam, jak na mnie patrzył pomysłowym wzrokiem okrutnika, spojrzeniem takim, jakby sobie z wolna obmyślał sposób utopienia szczura. A jednocześnie było to spojrzenie fiksata, który się w dodatku boi, że tego szczura nie utopi, lecz w pewnej chwili zacznie go łechtać pod szyją, powie coś w rodzaju „kici-kici” i skończy to wszystko czymś bardzo głupim. Tę chorobliwą obawę miał w oczach i nie powiem, żeby jego wzrok sprawiał mi wielką przyjemność. Nie było mi go nawet żal, kiedy siedział przede mną pełen rzekomej wzdargy, niechęci i cynicznej opieszałości, kiwając nieznacznie końcem pantofla. A przecież kochałam tego historyka. I pozwalałam mu patrzeć na siebie w tak upokarzający sposób i przedłużać tę chwilę sadyzmu jedynie po to, żeby nie odejść, póki nie doczekam owego „kici-kici”, bo straciłam nadzieję na wyżebranie lub wyłudzenie czegoś więcej, wiedziałam, że Diego nie zgodzi się zabrać mnie ze sobą do Francji.

No, więc siedział i kiwał końcem pantofla. Wyobrazasz sobie to pożegnanie, François? Spuszczone żaluzje, gwizd syren i niespokojny szmer ogarniętego paniką miasta, lada godzina wszystko ma runąć. Klęska. A tu ten pokój, Diego na jednym stołku, ja na drugim, butelka „Fino”, kiwanie końcem pantofla i ani słowa między nami, cisza. To była tortura obustronna, bo i ja mogłam coś powiedzieć, ale nie mówiliśmy nic, żeby nie wypaść z roli, ponieważ było to w pewnym sensie wzajemne duszenie się na pokaz, które musieliśmy zagrać przed sobą dobrze i do końca.

Nie wiem, czy jasno przedstawiam sytuację, mój prefekcie. Powtarzam, że nie szło mi o wyjazd. Diego już wcześniej okazał w tej sprawie mniej więcej tyle zrozumienia, co francuska policja. Wyjazd? A dlaczego? Nie widział powodu, jak taś-tasie. Niezaangażowana politycznie aktorka, o czym tu w ogóle mówić? Mogę sobie grać spokojnie w teatrze. Powiedziałam, że oni zrobią przecież jatki, gdy wkroczą, bardzo to lubią, ale mniejsza o rozstrzeliwania, robią potem z Hiszpanii jedno wielkie więzienie, a nie gra się spokojnie w miejscach, z których nie można wyjść. Uśmiechnął się na to: – Przesada. – Więc nie miałam złudzeń, wiedziałam, że jest koniec, meta, coś w rodzaju pogrzebu. Przyszłam tylko po to, żeby urządzić na pogrzebie mały skandal, jeszcze jedno rajskie wesele przed złożeniem nieboszczyka do grobu, a szczerze mówiąc, przyczołgałam się tam jak psina do nóg Diega, żeby mieć z nim tę ostatnią noc, bo od pewnego czasu trzymaliśmy się od siebie z daleka i nigdy nie pragnęłam jego miłości bardziej niż wtedy. Połapał się od razu, jaki numer jest w projekcie, a chciał tego samego, co ja, było to wyraźne. Znałam go przecież, ulegał mi zawsze mimo wewnętrznego oporu, wyczuwałam z góry, kiedy ulegnie, z jego twarzy dało się wszystko wyczytać. I nie zdziwiło mnie wcale, że się przestraszył, i że natychmiast usiłował dla zamaskowania strachu być wobec mnie sztywny, znałam już te pozy, to połykanie kija, robienie szklanych oczu, wiedziałam, jak się je taki pasztet. Musiał mi za chwilę pęknąć, zawsze w końcu pękał. Ale tego ostatniego dnia urządził numer ekstra. Najpierw zabłysnął butelką „Fino”. Nie wiem, gdzie ją zdobył. Ostatnio pijaliśmy tam napoje mniej luksusowe. Na pytanie, skąd ma „Fino”, odchrząknął coś niezrozumiałego, a następnie zajął się starannym polerowaniem kieliszków, które oglądał pod światło, przy świecy, bo już nie było elektryczności. Odpieczętował butelkę. Nalał. Podniósł kieliszek, drżała mu ręka, skinął głową i powiada sztucznym głosem, z miną nieco głupią, ale bezczelną: - Do widzenia, Dolores. – Wyobrazasz sobie, François. Nie, ty nie czujesz, o co idzie. Wypiliśmy. Czekam, co też będzie dalej. A Diego – nic, ciągle sztywny, z tym kijem w środku. Pomyślałam: jednak błazen, ta zabawa jest niesmaczna. Ale było mi trochę nieswojo, zdawałam sobie sprawę, że on robi jakiś numer, tylko nie rozumiałam, jaki. Założył nogę na nogę. Kiwa i kiwa. Nerwowo, lecz systematycznie. Może ten cierpliwy pokaz trwał dwie minuty, może pół godziny, w moim odczuciu minęło pół życia. Nareszcie mówi: – Tak, dziś w nocy wyjeżdżam

– jakby mi odpowiadał na coś, co mogłam tylko pomyśleć, bo o nic nie zapytałam. Wygłosiwszy swoją kwestię, przyjrzał mi się z ciekawością i głębokim zastanowieniem. Znowu pauza, cisza, nic. Kiwa pantoflem. Ja się też uwzięłam. Patrzę na niego. A on na mnie. I tak siedzimy, pasujemy się wzrokiem: kto kogo? Znowu mija pół stulecia. Robię niemożliwe oczy, takie, że powinien się skręcać, wyzywam go nimi a zarazem kompromituję. Nie, nawet ich nie robię, one się zrobiły same. Bo jeśli ktoś, jak Diego, udaje, że coś nie istnieje, a to coś jednak jest, wtedy oczy rozszerzają ci się same i widać to coś, które rzekomo nie istnieje, widać je tak nieprzyzwoicie, że samo twoje patrzenie, samo uczestnictwo w tej bezwstydnym sytuacji zakrawa na skandal. Powinam go była diabelnie głupio urządzić swoim wzrokiem. Wszystko wytrzymał niby obojętnie, z nonszalancją, niby nie mając pojęcia, co się zdarzyło między nami wcześniej i co się działo nadal, niby nie słysząc gwizdu syren i odgłosów popłochu, wszystko zniósł, nie mrugnawszy okiem, uśmiechał się do końca, obmyślał jeszcze, jaki ma być koniec, kiwał pantoflem aż do chwili, gdy wreszcie wpadł na koncept, i wiesz, François, wiesz, co zrobił? Powiedział: – A teraz mogłabyś już wyjść. – Tak mnie skończył! Tymi słowami. I ja wyszłam!

Mowę mi odjęło, dopiero w progu krzyknęłam: – Impertynent! – To jedno przyszło mi do głowy.

Prefekcie, może ten epizod wydaje się błahy, może nawet ze stanowiska szefa policji cała sprawa nie zasługuje na uwagę i może nie jest jasne, dlaczego tak szeroko i szczegółowo opowiadałam o incydencie, w którym na pierwszy rzut oka nie ma nic osobliwego. Nie przeczę. Ale o to właśnie idzie, że w okolicznościach, gdy powinno raczej stać się coś niezwykłego, zdarzył się wypadek całkiem prosty, pewien mężczyzna wyrzucił kobietę za drzwi, a nawet zdarzyło się mniej, mężczyzna powiedział, żeby kobieta sobie poszła, był tylko niegrzeczny, to wszystko. Otóż proszę zrozumieć: kiedy mężczyzna rozchodzi się tak z kochanką, w ten prosty, rzeczowy i niby wystarczający sposób, ale jednak zbyt skromny, jak na rozejście się z człowiekiem, kiedy niczym nie zamyka miłości, kiedy nie chce wziąć ślubu z piękną markizą w jakimś frymuśnym kościele, a kochance nie zostawia dzieciaka, którego by przedtem zmajstrował, lecz rozchodzi się poniekąd bez powodu i nie odgrywa już żadnej choćby niedużej, tragedii, nie stara się nawet niczego nakłamać, kiedy po prostu mówi, że teraz, akurat w tej chwili, kochanka mogłaby sobie pójść, ale niczym swego życzenia nie motywuje, ponieważ motywacji nie zna, a tę kobietę w istocie kocha, kiedy nie popełnia żadnego szaleństwa, żadnej dużej rzeczy, ofiary albo podłości, byleby to było na miarę – o-la-la! co mówię! – kiedy nie popełnia nawet maleńkiej rzeczy, nie daje na przykład kochance w twarz, kiedy zmusza ją do odejścia w niewiarygodnie zwyczajny sposób, i tylko tyle, nic więcej, i ona odchodzi, to ta kobieta jest cholernie trzaśnięta i musi potem coś zrobić.

Nie, prefekcie, kobieta nie może z tym zostać, jest cholernie trzaśnięta i musi potem coś zrobić.

A tego Diega to ja chciałam kiedyś zabić. I siebie też. Czy mam się spodziewać, że będę oskarżona o usiłowanie zabójstwa, jeżeli o tym opowiem? Proszę bardzo, historia chyba sprzed roku, bo to sobie wymyśliłam wcześniej, gdzieś tak z początkiem wielkiej ofensywy białych w Aragonii, kiedy nasi załamali się pod Teruelem i krach wisiał już w powietrzu. Diego wtedy uznał, że wszystko między nami było fatalnym błędem. Będziemy musieli się rozstać. I jeszcze powiedział, że przyczyna jest zwykła: on mnie po prostu nie kocha. Zdecydował się na wybór takiej wersji, chociaż miał różne. A ja mu nie tyle uwierzyłam, co nie mogłam znieść, że wybrał tę właśnie wersję. Była noc, prawie wszystkie noce spędzałam wtedy z nim. Oczywiście noc miłosa, a jakże. Diego po swoich dramatach zawsze się łamał. Najpierw kładł mi głowę na kolanach, przypominał dziecko w tym bezbronny goście, a potem szybko się zapalał, największe pożądanie ogarniało go w takich upadkach i w końcu brał mnie z krzykiem, wiesz, François? No, mniejsza o to, miał coś z natury pierwotnego zwierzaka w tych nieopanowanych wybuchach rozrzewnienia i gwałtowności, daruję sobie

może relacje bardziej szczegółowe, chcę jednak powiedzieć, że kochankiem wydawał się interesującym. Więc była noc, chyba księżycowa, tak, pamiętam światło księżyca na ścianach. A to z krzykiem już się stało, Diego leżał koło mnie bez ruchu, znowu drętwy, obcy i przerażony tym, co przed chwilą zrobił. Pamiętam jeszcze jedno: jak się wtedy obciąłam. Gdy on tak leżał, zmieniony poniekąd w swej substancji, już trochę sztuczny, trochę z gumy, nie wytrzymałam, przysunęłam się do niego, wiedząc, że nie powinnam, i spytałam niby z brawurą, a w rzeczywistości jak smutna kretyńka, czy mnie jednak nie kocha. I na tym się obciąłam, bo Diego z początku tylko się wzdrygnął, ale na dalsze moje nalegania odpowiedział z ostentacją, z umyślnym naciskiem: – Nie. – Po tym obciachu zmyłam się z łóżka i wybiegłam, żeby sobie spokojnie pobeczeć w ustępie. No i tam, zamiast pobeczeć, wpadłam na pomysł, że zabiję Diega. A już od pewnego czasu zbierałam „Luminal”, ukradłam w szpitalu około trzydziestu tabletek, więc ten pomysł nie był zupełnie nowy, nie zdawałam sobie tylko dostatecznie jasno sprawy, po co noszę w torebce „Luminal”. Teraz mi się to raptem narzuciło jak olśnienie, że mogę otruć Diega. Nie jestem lunaticzką, ale księżyc musi na mnie trochę działać, bo wylazłam z tego klozetu nieprzytomna i jakby w transie przeszłam przez korytarz, a korytarz był podobny do akwarium, oszklony, długi, światło księżyca padało tam z góry, ponieważ Diego zajmował mieszkanie na poddaszu. Przeszłam jak we śnie to księżycowe akwarium aż na drugą stronę, gdzie mieściła się kuchnia, której Diego używał wspólnie z jakimś innym malarzem. W nocy nikt nie zachodził do kuchni, stała dość daleko od pracowni Diega, on sam nie mógł nic słyszeć. Otóż w tej kuchni zaczęłam przyrządzać mieszankę „Luminalu” z winem, tylko na próbę, po prostu z ciekawości, czy uda się zrobić taki roztwór. Wcale mi to łatwo nie poszło, bo talk nie chciał się rozpuszczać, ale rozgniotłam pięć, sześć pastylek, wrzuciłam do szklanki i zalałam winem. Tworzył się osad, płyn był mętny, pływała w nim ta zawiesina po talku. Naturalnie skosztowałam, jaki to ma smak. Diego musiał przecież wypić tę ciecz. Smak okazał się prawie nie zmieniony, był smakiem wina. Sprawdzałam go starannie, próbując językiem kilka razy. Wydawało się, że nie sposób nic rozpoznać, nie poczułam też nienormalnego zapachu. Ale gdy umoczyłam już usta w tej mieszance, przyszło mi na myśl, czy i ja nie powinnam jej wypić, czy w istocie nie muszę zrobić tego razem z Diegiem. I nie powiem nawet, mój prefekcie, żeby to było postanowienie, raczej objawiona mi nagle konieczność, raczej uświadomiona oczywistość musu, coś w rodzaju myśli: jeżeli już, to przecież ja także – dość, że zdałam sobie sprawę, ile porcji mam przygotować, mianowicie dwie. Zrobiłam więcej roztworu, od razu w butelce, a ponieważ tworzył się osad, postanowiłam odczekać, aż się ustoi, a później scedzić. Trwało to dość długo. Ale i ja się nie spieszyłam, jakbym pragnęła odwlec chwilę, kiedy pójdę z tym do Diega. I mimo wszystko bałam się, czy nie rozpozna domieszki, spróbowałam jeszcze raz, pozostał ten sam smak, nie powinien być nasunąć wątpliwości. Bałam się jednak czegoś więcej, samej zbrodni i śmierci, czułam się cholernie zmęczona, przybita wielkim ciężarem, a osad w butelce nie chciał dobrze opaść i ja, czekając na to, położyłam głowę na stole. Co było później, nie wiem. Po prostu zasnęłam. Widocznie „Luminal” którego trochę skosztowałam, podziałał. Ocknęłam się, gdy ktoś mną szarpnął.

Tak, mój prefekcie, to był Diego. Jak mówił potem, upłynęła może godzina, zanim, zdziwiony moją nieobecnością, wstał. Nie odpowiadałam na wołanie, więc poszedł do kuchni i tam znalazł mnie śpiącą na stole. Zobaczył także rozrzucone pastylki i wino, które wydało mu się podejrzanym. Uspokoił się cokolwiek, gdy zdołał mnie stosunkowo łatwo zbudzić. Właśnie tę chwilę pamiętam, to szarpnięcie, ręce Diega na mojej twarzy i pytanie, ile tabletek połknęłam. Nie rozumiałam, gdzie jestem i co się dzieje, dopiero po pewnym czasie przypomniałam sobie mgliście jakąś potworną rzecz, chyba morderstwo, które miałam popełnić. Diego opowiadał, że chwycił butelkę z winem i nie chciałam wypuścić z rąk, ale on mi ją wyrwał i to wino wylał. Nie domyślił się jednak przyczyny mojego obsesyjnego, jak mówił, zachowania, powodów tej absurdalnej bojaźni, żeby nie dotykał butelki. Wy tłumaczył

to sobie maniackim uporem samobójczym. Nie wiedział, że trucizna była przygotowana dla niego. I nie dowiedział się nigdy. Ale odkąd zaczął zwracać na mnie uwagę nocami, stał się ostrożniejszy, często bał się zasypiać, miał mnie już na oku. A wszystkie pastylki zebrał wtedy ze stołu i wyrzucił, żebym tego numeru przypadkiem nie powtórzyła.

No, i właśnie, mój prefekcie: ostatni poniedziałek!

Jestem specjalistką od samobójstw. Może to teraz wyda się jaśniejsze, ten ostatni poniedziałek, o którym wszystko zaraz powiem, i ta noc w Hiszpanii, o której już mówiłam.

Ostatni poniedziałek! Ale ty się nie przestrasz, François.

Proszę obejrzeć moje ręce, ach, nie z tej strony, na przegubach, te dwie drobne rysy. Pozwolę sobie zauważyć, że zwierzchnik policji mógłby wykazać więcej znajomości rzeczy i spostrzegawczości. Ślady są nieco zablźnione, ale widoczne. Owszem, owszem, prefekcie, nietrudno zgadnąć, skąd się wzięły. Dwa dni temu były wyraźniejsze.

Jestem aktorką, podkreślam to jeszcze raz, aktorką, nie psychopatką, jestem jarmarczną komediantką, zgoda, proszę tylko nie posądzać mnie o histerię. Samobójstwa popełnia się dla publiczności, to prawda, lecz można samemu sobie być publicznością, podobno teatr oczyszcza. Katharsis. Masz o tym jakieś pojęcie, François? Gdy chciałam zabić Diega, widzowie byli mi też niepotrzebni, wystarczy czasem zagrać coś przed sobą. Jednoosobowy autospoktackl, widz utożsamia się z aktorem, aktor z widzem, sprawa intymna i ściśle prywatna. Otóż to przedstawienie, które dałam w ostatni poniedziałek, nie było przeznaczone dla nikogo poza mną, nie dla ciebie, François, wierz mi, nie dla policji, nie dla prasy, recenzje byłyby co najmniej niekorzystne, więc nie, grałam przy drzwiach zamkniętych, ale taki teatr to zagładanie do małej rzeźni, średnia przyjemność, mój prefekcie, to było potworne. I wiem, że już dziś nie zachowałabym się tak, jak w poniedziałek, dlatego właśnie mówię, dlatego się przyznaję. Mam niewątpliwie dogodną sytuację, mogąc się przyznać.

Miejsce, w którym przebywam, jest, owszem, niezłe. Fikuśny kurorcik. I ten ustronny domek z widokiem na Pireneje bardzo mi się podoba. Oceńłam jego zalety natychmiast po przyjeździe, już pierwszego dnia, to znaczy – kiedy? W sobotę, zdaje się. Tak? No, właśnie, zaraz w sobotę, uwolniona od taś–tasiów, poczułam się raczej dobrze, można powiedzieć – swobodnie. I nic z tego, co zaszło do poniedziałku, nie stało się bez mojej zgody. Wprost przeciwnie. Na pytanie, czy chcę zostać tu przewieziona, odpowiedziałam, że pojedę z przyjemnością. Tak było, mój prefekcie, potwierdzam to. Nie muszę chyba dodawać, że mając do wyboru baraki i to uroczne miasteczko, nie mogłam się wahać. Żegnajcie, taś–tasie, jestem aktorką, gwiazdą, oto pan prefekt z Departamentu, sam pan prefekt, osobiście pan prefekt (nie przerywaj mi teraz, François), dalsze przesłuchania wyłącznie u pana prefekta w Departamencie, już po kilku minutach rozmowy widać, że jest pani kobietą nieprzeciętną, o monsieur! o madame! – delicje. Jeszcze coś przypomnę. Dialogi z pierwszego wieczoru tutaj, trele–morele, czy lubi pani zapach migdałowca, szczęśliwe spotkanie, Dolores, François, jakie to dziwne, może raz w życiu zdarza się taka niespodzianka, no, przypuśćmy, ale nie robi to na mnie wrażenia, skądże, czuję tylko, że znalazłam się wreszcie po tej stronie, i tak dalej, klituś–bajduś. Wszystko potwierdzam, całe to klituś–bajduś, powiem nawet, że w istocie nie robiło to na mnie takiego wrażenia, o jakie chciałam być podejrzwana. A drzew migdałowych rzeczywiście tu sporo, są cudowne, w ogóle miasteczko – marzenie, szkoda, że nie mogę chodzić na spacer. Wszystko się zatem zgadza, wszystko prawda, wszystko było właśnie tak, jak w tych dialogach, i nic nie zmieniło się do poniedziałku. Ale w poniedziałek zostałam sama. I znalazłam zyletkę, którą ty, François, porzuciłeś w umywalni. A gdy ją znalazłam, pomyślałam sobie, że to jest dobry przyrząd do załatwienia katharsis.

Chwila też była dobra. Dużo czasu, pusto, ty wyjechałeś, w takiej chwili można tylko na coś czekać albo zrobić ze sobą porządek. Ale żeby czekać, musi się przynajmniej wiedzieć, na co. A jeśli się nie wie, doznaje się czegoś przerażającego, jak poczucie rozpadu i zanikania, poczucie przemiany w czarny proszek, i myśli się: nie! trzeba zrobić ze sobą



porządek. Tak właśnie pomyślałam: trzeba zrobić ze sobą porządek – a ten „porządek” nie oznaczał jeszcze samobójstwa, tylko to, że muszę coś postanowić. Lecz gdy zaczęłam rozważać, co mogę postanowić, przyszło mi jedynie do głowy, że przyrząd jest dobry.

A potem wstałam, żeby to wykonać. Przepraszam, źle mówię. Nie wykonać. Raczej spróbować, czy to się przypadkiem nie uda i czy nie będzie wyjściem. Albo jeszcze lepiej: popatrzeć na to. Cięłam zbyt ostrożnie, za płytko, bo jednak podczas tego cięcia natychmiast oprzytomniałam. Nie będę opowiadać, czym jest taka zabawa z krwią. Temat mało dyskursywny, słowa nie nadają się do opisu. Tak rozbabrać samą siebie można tylko w całkowitym zamroczeniu, kiedy się jest sypkim, czarnym proszkiem, kiedy coś w człowieku przestaje działać, jakiś automat się wyłącza.

Nawet nie wpadłam na pomysł, żeby przedtem napisać listy. Mogły być różne. Na przykład: „Do P.T. Prefektury Departamentu. Motywy czynu, którego się dopuszczam, nie mają związku z moim pobytem we Francji. Proszę nikogo nie obciążać winą”. Albo: „François, przebacz mi, nie mogłam inaczej. To nie przez Ciebie. Przysięgam. Byłeś wobec mnie bez zarzutu. Gdyby spotkały cię przykrości od jakiś półgłówków, pokaż im ten list. Dziękuję za wszystko. Dolores”. Ale widzę, François, że jesteś jednak wzburzony. O, nie chcę tego. Nie po to mówię. I przecież nic nie zrobiłam, udało mi się szybko zatamować krew.

Owszem, zaschło.

Potężnie zryczałam się w poduszkę.

Później powiedziałam sobie: tamto z „Luminalem” to raz, a to dzisiaj – dwa, więc coś tak jakby remis, jeden jeden.

Powód? Czy w ogóle był jakiś powód? A jakże, mój prefekcie! Diego istnieje. To właśnie był powód.

Najwidoczniej sprawa nie jest jeszcze dość jasna. Postaram się dorzucić trochę faktów, o których może powinnam wspomnieć, aby znaczenie Diega w tej sprawie stało się zrozumiałe.

Dobrze, zacznę teraz od początku, nie od końca. Zacznę od chwili, gdy poznałam Diega. Nie powiedziałam jeszcze, że wtedy, kiedy go poznałam, był ranny. Granat rozerwał się o krok przed nim, Diego stracił dwa palce u prawej ręki, wskazujący i środkowy. Kalectwo zostało mu na zawsze, ale miał więcej ran od eksplozji tego granatu pod Madrytem. Toczyli tam jakąś okropną walkę z faszystami, dochodziło podobno do starć na białą broń. W ciężkim szoku, z rozszarpaną dłonią i odłamkami w brzuchu, zniesiono go z placu. Mówił mi, że stało się to może po dwóch, może po trzech godzinach od chwili ranienia i że najstraszniejsze było, gdy jeszcze podczas bitwy biegli wprost na niego, a on leżał i nie potrafił nawet poznać, kto biegnie, nasi czy faszyci. Aż nagle zrobiło się ciszej i pusto, całkiem pusto, wtedy zemdlał. Jakimś cudem nie zatratowano go w czasie tych ataków podejmowanych z obu stron. Dostał się później do lazaretu i wkrótce po operacji przyjechał z transportem rannych do Barcelony. Madryt odsyłał ich wszystkich do nas, na tyły, szpitale w stolicy były pełne i pod ogniem. Traf zrzucił, że Diego mieszkał w Barcelonie już wcześniej, tak samo jak ja. Ale nie znaliśmy się przed jego odejściem do armii, dopiero w ten dzień, gdy wrócił z transportem rannych, zobaczyłam go pierwszy raz. Nie wiedziałam, że to jest jeden z naszych najwybitniejszych młodych malarzy, on też nie rozpoznał we mnie aktorki barcelońskiego teatru, tylko moja twarz przypomniała mu jakby kogoś znajomego i to mi powiedział. Niezbyt się wzruszyłam takim wyznaniem, zasługuję podobno na dokładniejszą pamięć, ale gdy on jeszcze spytał, jak mam na imię, wymieniłam je cierpliwie: – Dolores. – Ranny na to: – Diego. – I od razu: – Czy jesteś komunistką? – Nie, słodczy moja – roześmiałam się – nie jestem komunistką, mów do mnie lepiej: siostró. – Tu muszę dodać, że byłam wtedy pielęgniarką w szpitalu. Wiele kobiet pracowało wówczas po szpitalach, poczuwałyśmy się do obowiązku dawać z siebie coś republice, a wołałam opatrywać rannych niż robić na drutach swetry dla żołnierzy. Diego zastosował się posłusznie do wskazówki. – Siostró

Dolores – mówił odtąd, nadawał jednak tym słowom jakiś ton zagadkowy i znaczący, którego nie rozumiałam. – Siostrzo Dolores – powiedział kiedyś – wydaje mi się, że siostra jest komunistką w przebraniu. – W jakim przebraniu? – zapytałam, zdziwiona, co on bredzi. – O w tym przebraniu – odparł, dotykając mojego fartucha – w tej bieli, w kostiumie – szukał przez chwilę wyrazu – w kostiumie anielskim! – Pomyślałam: zgadł albo zwariował, musi to być słodki dzieciuch ten komunista, tylko że we wszystkim, co mówi, chwyta przecież jakiś cień prawdy. Samarytanką rzeczywiście się nie urodziłam, lecz jednak coś popchnęło mnie do szpitala, gdzie nie jestem sobą, bandażując czerwonych żołnierzy, i czegoś to dopatrzył się we mnie ten egzaltowany głuptas, komunizmu? Ba! Zgadł więcej, zgadł przebranie, kostium zastępczy, dla którego wymyślił tę naiwnie patetyczną nazwę: anielski. Chciałam mu dociąć, że istotnie przydałoby się między komunistami trochę aniołów, lecz ugryzłam się w język, chłopiec był ranny i do tego ładny, powiedziałam: – Ho, ho, co słysze? Nikt mi nigdy nie mówił nic tak pięknego. – I on połknął ten haczyk. Już go połknął na dobre..

Odtąd zaczął mi się zwierzać. A więc: jest malarzem. I chciałby namalować mój portret, jeśli to można tak nazwać. Bo właściwie nie portret. Chciałby namalować sens życia i sens marzenia poprzez mnie. A właściwie poprzez mój kolor, poprzez biel, którą widzi w szczególny sposób. Wyobraża sobie jedno takie światło, to światło już, ma i ma głębię. Tylko – o, czego nie ma: własnych palców. Na front już nie wróci, wie o tym. Ale czy bez palców u prawej ręki będzie mógł malować? Pocieszałam go, że z pewnością, bo przecież ręka o niczym nie stanowi, ważna jest chyba głowa i oko. – To nie wiadomo – odpowiadał. Zmieni się bardzo wiele. Będzie inny uchwyt, cała dłoń lżejsza i jakby cudza, zabraknie pewności w prowadzeniu linii, tej pewności wrodzonej, która pozwala jednym pociągnięciem wykreślić bezbłędnie kształt pomyślany. Ręka nie może być ułomna, ręka jest ważna. On się na tym lepiej zna. No ale spróbuje. Bo chce namalować sens życia i sens marzenia, ma to jedno światło, namalowałby rzecz bardzo czystą, wydobyłby z bieli ciepło i coś muzycznego, przekroczyłby granicę absolutną, granicę sfer, jeśli go rozumiem, jakkolwiek to trudno wyrazić słowami, ale w kolorze on to widzi, więc zabrałby się do roboty niezwłocznie, tu, w Barcelonie, w swojej pracowni, byle bym tylko ja tam przyszła i pozowała mu do obrazu, gdy on już wyjdzie ze szpitala.

Co ma obraz do ostatniego poniedziałku, zastanawiasz się, François. Ma! Nie wiem, czy potrafię ci to wytłumaczyć, ale ktoś, komu powiedzą takie rzeczy, jak Diego mówił wtedy mnie, czuje się już potem z o b a c z o n y w pewien sposób, nosi nadaną mu charakteryzację i musi się odpowiednio zachowywać. Może sobie nawet myśleć, że to jest pic nie z tego świata, ale już się zaczyna robić na chodzący sens życia z tym światłem na pępku, już tak łatwo nie zrezygnuje, szkoda gadać. Krótko mówiąc, ja też połknęłam haczyk. Jeszcze w szpitalu, zanim wypisano Diega do domu, zawiązał się między nami mały romansik. Właściwie nic wyraźnego, właściwie polegało to na spojrzeniach i na tym, że istniał jakiś powód, aby je raptownie urywać, lecz zbyt jawnie i nie w porę, dzięki czemu nasuwała się właśnie myśl: oho, coś jest! – polegało to również na dotknięciach, o których wiedzieliśmy, że są dotknięciami, to była jeszcze taka faza, rozumiesz, François? Aż kiedyś, nie wiadomo z czego to wynikło, a Diego już chodził, więc kiedyś na wiosnę, bo to się zdarzyło w ciepły dzień na początku kwietnia, zesłam na parter, było chyba południe, cisza, miałam wolną chwilę, pamiętam, że uchylałam drzwi, żeby wyjrzeć na ogród, i doprawdy nie wiem, jak to się stało, nawet nie słyszałam kroków za plecami, ale ni stąd, ni zowąd znalazł się tam Diego. Stał koło mnie, powiedział: – Tyle słońca. – Szepnął: – Chodźmy do winobluszcza. – Nim się spostrzegłam, ogarnął mnie ramieniem i sprowadził po schodkach do ogrodu. Byłam tylko zdziwiona, powiedziałam: – Po co? – On powtórzył: –Chodźmy na tamtą stronę. – Na którą? – Na tamtą za winobluszczem. – Powiedziałam: – Nie można. – Można – szepnął Diego. I nagle zrobił się jeszcze bliższy, pocałował mnie, straciłam zupełnie głowę, nie wolno mi było ryzykować takich rzeczy w szpitalu wojskowym, wyobrażasz sobie, François, ale to nie

koniec, to się potoczyło na łeb, na szyję, weszliśmy jak pijani między żywopłoty i tam, pod gałązkami winobluszczu, gdzie nie było nawet dość miejsca, więc tylko stojąc w tym gąszczu winnej latorośli, w tej dziwnej szczelinie, pod gołym niebem, w jasny dzień, nie wiadomo jak i kiedy Diego zrobił ze mną wszystko. Do dzisiaj nie rozumiem, co się wtedy stało. Pytałam później Diega: – Skąd się to wzięło? – Odpowiadał: – Ze słońca.

W pierwszej chwili, gdy nieco ochłonełam, wydawało mi się, że może zapomnę. Nie czułam, żeby to było coś poważnego. Przyszło nagle i rozeszło się po kościach: sprawa jednego dreszczu, fatamorgana pod żywopłotem. Diego dobrze powiedział: ze słońca. Ale po tym zdarzeniu starałam się, żeby go czym prędzej zwolniono do domu. Cała ta historia zabiła mnie jednak z pantałyku. Wchodząc na salę, gdzie leżał, dostawałam wypieków. Ponadto nasze wzajemne zainteresowanie dostrzeżono już w jakiś sposób. Niewątpliwie Diego był „mój” wśród innych pacjentów. Sam chciał wyrwać się ze szpitala do pracy nad obrazem, o którym znów mówił. Uzyskaliśmy łatwo zgodę na zwolnienie, bo rannych ciągle przybywało. Po kilku dniach Diego zamieszkał na swoim poddaszu i odtąd pielęgnowałam go w domu. A później chciałam otruć, była już mowa o tym.

Obraz? Ten obraz nigdy nie powstał.

Więc właśnie: sens życia. Jakoś mu nie wyszło z tym sensem życia. Skończyło się po prostu na pomyśle.

Nie wiem dlaczego. Po powrocie do zdrowia Diego zmienił temat. Wiadomości z frontu niepokoiły go ciągle.

Sens mojego życia? Co to znaczy?

Owszem, wydaje mi się, że obraz ma związek z ostatnim poniedziałkiem.

Mój prefekcie! Przed poniedziałkiem była niedziela. Piękny dzień. Przed poniedziałkiem zawsze jest jakaś niedziela, a w niedzielę ludzie sobie mówią: no to fajnie, mamy wszystko z głowy, dzisiaj święto. I nawet prefekt policji może sobie pomyśleć: nie jestem na służbie, zajmuję się dziś pewną brunetką, a co jutro, to się zobaczy. Przypominam, że uciekłam z Hiszpanii i przyjechałam do Francji nie dlatego, żeby mnie jacyś dzielni falangiści nie zatłukli w Barcelonie, ale dlatego, że po rozstaniu z Diegiem byłam cholernie trzaśnięta i musiałam coś zrobić. Czy to jasne? Otóż w niedzielę wyszła mi niejako przerwa w zajęciach, jak gdybym ja też mogła sobie powiedzieć: mam to z głowy, dzisiaj święto. Nastąpiła jedna z owych kłopotliwych niekonsekwencji, do których nasza świadomość poczuwa się tylko częściowo. Ach, oczywiście: takie osłabione poczucie związku z własnymi uczynkami ma się dopiero po fakcie. Dopiero wtedy myśli się: to chyba nie ja. Podczas faktu wręcz przeciwnie. Podczas faktu ani komu w głowie zadawać sobie głupie pytanie, czy ja to ja. Pewnie, że ja! jak najbardziej ja! Fakt bowiem przyjmuje się zachłannie, lecz i bezwiednie, w sposób cokolwiek niemowlęcy, z ciamkaniem i machaniem nóżkami, a jeśli się w ogóle myśli, to co najwyżej: o–la–la! ależ mi się trafia ptasie mleczko! Więc żeby jeszcze było smaczniej, mówi się: fi donc, wcale nie robi to na mnie wrażenia. Chciałabym, mój prefekcie, zobaczyć męczyznę, który, posłyszawszy takie słowa, nie upodobni się troszeczkę do pijanego koguta, pijanego ze szczęścia, rzecz prosta, i nie będzie pewien, że właśnie sprawił kolosalne wrażenie, ponieważ ma w sobie coś niezwykłego. Strasznie jesteście śmieszni z tymi waszymi ambicjami. Przepraszam bardzo. To był nawias. Jadę dalej. Pije się więc ptasie mleczko i macha nóżkami, bo jest niedziela, kiedy można sobie na to pozwolić, bo się ma przerwę, czas wolny, bo się jakoś tak zapomniało o powodach ucieczki z Hiszpanii i celach przyjazdu do Francji, bo wynikło coś dziwnego, drobna niekonsekwencja, o której się jednak podczas faktu nie wie, bo wszystko polega na tym, że się w istocie nic nie robi, tylko się jest, a to różnica. No dobrze, ale niby miało się właśnie coś zrobić. Już wtedy w Barcelonie na progu pracowni Diega, gdy wyleciało się za drzwi z krzykiem „impertinent”, już wtedy się przecież poczuło, że po takim numerze trzeba będzie coś zrobić. I przyszła niby decyzja. Koszmarna jazda rozklekotanym samochodem, który jednak stanowi szczęśliwą okazję, ścisk

i rozpacz, messerschmitty nad głową, wreszcie postój na granicy, czekanie trwające wieczność, druty, barak, indagacje taś-tasiów. A potem brzdęk! przyjeżdża pan prefekt, fliki stoją na baczność, wesoła perypetia, przenosiny do fikuśnego kurorciku i oto niedziela. Wcale niezły sposób spędzenia czasu w ten dzień wolny od pracy, tylko cóż to było? Interludium? A może o taki sposób szło, może to właśnie miało być zrobione? Może zrobić znaczyło po prostu być albo, powiedzmy, tak być? Sens życia, mój prefekcie, a jakże! Mowa o sensie życia, niech mi kto powie, że nie! Już w sobotę wieczorem po przyjeździe tutaj zatrzasnęłam za sobą drzwi z żywiołową satysfakcją, aby podkreślić przyjemność wyłączenia się z programu, zatrzasnęłam je tak, jakbym odbijała wiosłem od brzegu, i ty, François, spostrzegłeś mój gest, byłeś pod miłym wrażeniem tej demonstracji. Teraz myślisz pewnie, że pragnęłam wziąć rewanż na Diegu. Bo ja wiem? Masz rację tylko częściowo. Po tym odbiciu od brzegu łódź poszła z prądem. Dobrze poniosło. Rogaliki z kminkiem też mi smakowały, przepyszne wyżywienie – cały dzień na rogalikach z kminkiem. I jeszcze ta wskazówka dla mnie: – Proszę pamiętać, że nie należy stąd wychodzić, moglibyśmy narazić się na przykrości, gdyby coś zauważono. – Nie próbowałam wychodzić. Nie myślałam o niczym. I nikt już nie pytał, czy Diego jest komunistą. Ten temat przestał istnieć. Ten głupi temat w ogóle przestał istnieć. Czyli, mówiąc inaczej, popełniłam wielkie świństwo. Czy teraz jest to dość jasne, prefekcie?

Więc jeśli nie świństwo, w takim razie coś bardzo rozsądnego. Nie łam sobie tym głowy, François.

Ale bądź co bądź przyznaję się do winy. Zapowiadałam, że przyznam się do winy.

Tłumaczę to wszystko zbyt chaotycznie, wiem. Nie jest łatwo wyjaśnić, dlaczego próba samobójstwa, którą podjęłam w poniedziałek, kojarzy mi się z tym pierwszym obrazem Diega, nigdy nie namalowanym. Powiedziałabym jednak, że... Wiesz, François, co mi przychodzi do głowy? Może nie byłabym próbowała odebrać sobie życia, gdyby ten obraz istniał.

I powiedziałabym jeszcze, że nie idzie o sam obraz, bo . jest więcej rzeczy, które się wplątały.

Po zwolnieniu Diega ze szpitala ciągle nie uważałam tamtej historii z winobluszczem za coś głębszego, choć zaczęły się odwiedziny w jego pracowni i już wyniknęły z nich dwie, trzy noce spędzone razem. Owszem, było coś niepokojącego w naszych pieszczotach, był od początku ten dreszcz, o którym przed chwilą mówiłam, Diego potrafił go wzbudzić jednym dotknięciem, miał wyczulony dotyk nerwowca, działało to jak prąd, ale nie przypuszczałam, żeby od takich naskórkowych wrażeń zależało wszystko, powinnam się była z tego wcześniej czy później otrząsnąć. Doszedł jednak pewien niesamowity motyw uczuciowy: w dłoni, która mnie pieściła, było puste miejsce, nieco dziwna, lecz zarazem przejmująca luka. A na tym też nie koniec, bo nie szło po prostu o wzruszenie z powodu kalectwa, nieznacznego w gruncie rzeczy, wyniesionego z wojny, o brak dwóch palców, nie, on garnął się do mnie z jakąś głębszą pustką w dłoni, z większą ułomnością, składał w moje ręce inne swoje inwalidztwo, całą niemoc czy niemęskość, nie wiem już, jak to nazwać, wiązało się to z malarstwem. Miałam mu być kochanką i siostrą miłosierdzia, rzekomą zakonnica i rzekomą komunistką, tak! tego jeszcze chciał. Wydawał się również trochę nieufny, garnął się i jednocześnie zachowywał w czymś rezerwę. Taki mi się ofiarował, łącznie z trudno wyczuwalną rezerwą, z dziwnymi kontrastami, taki się okazał zaraz w pierwszych dniach po wyjściu ze szpitala. Musiałam wszystko przyjąć i sprostać jego urojeniom o mnie, a nazywało się to pozowaniem do obrazu. Pozowanie było najwstydlivszą sprawą, jaką kiedykolwiek przeżyłam. Robił zrazu tylko szkice węglem, potem je przeważnie niszczył. Nie zauważyłam, żeby miał trudności z uchwytem ołówka, czego się uprzednio lękał. Sztukę trzymania narzędzi opanował moim zdaniem bardzo szybko. Ale twierdził, że jest inaczej. Na ogół nic nie malował podczas tych seansów, patrzył tylko w karton, częściej w karton niż we mnie.

Mówił: – Nie mogę trafić na linię, którą przedtem widziałem, ta linia była, jeszcze ją widzę, nie mogę wyprowadzić tego jednego załamania, o którym wiem wszystko, a przecież nie mogę go znaleźć, czuję, że coś się we mnie rozluźniło, coś jakby się obsunęło między okiem a ręką, to nie jest moja ręka. – Chodził po całym atelier i przyglądał mi się z różnych stron. Wracał do sztalug i zamierał tam na nowo ze wzrokiem utkwionym w pustą płaszczyznę kartonu. Zdawało mi się, że nie jestem w takich momentach potrzebna, podnosiłam się z miejsca i próbowałam znaleźć sobie jakieś zajęcie. Denerwowało go to, krzyczał, żebym się nie ruszała, bo mu wszystko zburzę. Mówił: – Miałem ustawioną konstrukcję, a teraz mi się coś obróciło, czekaj, czekaj, jak ja to chciałem zamknąć? No nie wiem, teraz już się nie domyka, zgubiłem takie jedno wiązanie, rozumiesz? – Nie dostrzegając, że tym sposobem przenosi domniemany powód swej niewydolności w inną sferę, niezależną od kalectwa fizycznego, że się poniekąd przyznaje do niedowładu samej wyobraźni. Albo i dostrzegając, bo mówił to z wyjątkowym spłoszeniem i bolesnym skurczem twarzy, był nienaturalnie wzburzony, a również podszyty tchórzem. Kazał mi się na przemian rozbierać i okrywać tkaninami w różnych kolorach. Stałam więc przed nim naga, a on gubił swoje linie i wiązania, tak wyglądały te akty. Później znów mozolnie ubierał mnie w kontrastowe stroje lub tylko od niechcenia narzucał jakiś szal, w końcu rezygnował, jakby upadał, przygnieciony zbyt wielkim i niezrozumiałym dla niego samym ciężarem, któremu nie mógł podostać, i w takim właśnie nastroju rezygnacji przychodził do mnie, a kiedy się potem ze mną kochał, nie panował nad sobą, zawsze krzyczał. Zdaje się, że o tym już mówiłam. Co do kostiumów używanych przy pozowaniu, to zanim się jeszcze ono zaczęło, przypuszczałam, iż potrzebny będzie biały fartuch, ponieważ Diego tyle opowiadał w szpitalu o swoim niezwykłym pomysle w związku z tą bielą. Dla odtworzenia jego pierwotnej wizji wydawały mi się niezbędne choćby jakieś drobne rekwizyty, kojarzące się z naszymi wcześniejszymi przeżyciami. On jednak wcale o tym nie pomyślał. Ustawiał koło mych nóg wazę, niekiedy kazał trzymać jabłko. Pewnego razu spytałam: – Skąd to jabłko? – Niespodziewanie odpowiedział: – Chyba z drzewa wiadomości złego i dobrego. – Szkice, które ostatecznie zdołał wykonać, nie miały ze mną wiele wspólnego. Podobieństwa nie było można się dopatrzeć w tych zawitych abstrakcjach. Diego niechętnie mi je pokazywał, uważając, że są złe. W głębi duszy czułam się tym pozowaniem speszona, powiem nawet: urażona w ambicji. Bądź co bądź doznałam jakiegoś bliżej nie określonego zawodu, nie zdawałam sobie sprawy, na czym właściwie to uczucie polegało, ale zniosłam bardzo przykro ów kryzys możliwości malarskich Diega czy raczej ów stan bezradności we dwoje. Tylko miłość się udawała lub, co będzie bliższe prawdy, budziła we mnie z dnia na dzień większe nadzieje. Dreszcz i tkliwość dotyku, a przede wszystkim to, nad czym Diego nie panował: ten żywioł z dna podświadomości wydawał mi się gwarancją jego uczuć. Żywioł nie mógł mylić. Wciągało mnie to coraz bardziej, a przynajmniej nie potrafiłam się już oprzeć pokusie częstego bywania w pracowni.

Muszę w związku z tym opowiedzieć o jeszcze jednym swoim numerze. Przeglądając kiedyś dawniejsze prace Diega, mniej więcej podobne do szkiców, które wykonywał podczas seansów ze mną, natknęłam się w stercie papierów na realistyczny rysunek przedstawiający kobietę. Odniosłam wrażenie, że ją znam. – Diego – powiedziałam – co to jest? – To szkic – odparł – stary szkic do obrazu. – I tu wymienił tytuł dość już głośnego dzieła, które mu swego czasu na wystawie w Madrycie przyniosło poważny sukces. – Ależ ja ją znam – zawołałam – to jest siostra Modesta! – Była w szpitalu taka siostra Modesta. Brzydka. Miała bardzo fikuśne nazwisko, Modesta Ama... Amara... Amarabilis... och, mój Boże, jak ona się nazywała, amarus, amara, amarum, pamiętam z łaciny, gorzki, gorzka, gorzkie, coś takiego, coś o goryczy, ale i coś o miłości, amabilis, amabile, chyba nie nazywała się Amarabilis, mówiłyśmy na nią „rzodkiewka” i tę jakąś Aramalis zobaczyłam na rysunku Diega. – Skąd się tu wzięła? – spytałam. – Była moją modelką. – Pozowała ci do tamtego obrazu? Przecież

na obrazie jej nie ma. – Jak to? – zdziwił się. – Jest na obrazie. – I zmienił temat rozmowy. Teraz dopiero przypomniałam sobie, że kiedy w szpitalu zwrócono po raz pierwszy uwagę na moje związki z Diegiem, wyszło to właśnie od siostry Modesty, od tej małej, czerwonej bulwy! Nie cierpię rzodkiewek. Ale jedno wiem: jeżeli już wejdzie mi w drogę jakaś rywalka, musi to być żaloszny pokurcz.

Tak, zapewne prawem kontrastu, François.

Mimo wszystko, pracując w szpitalu, odnosiłam się do niej życzliwie. Po odkryciu tego rysunku, jedyne chyba realistyczne w całej stercie, nie omieszkłam porozmawiać z siostrą Modestą. Ta idiotka przyjęła moje dyskretne śledztwo jako zaproszenie do konfidencji. Przyznała, że owszem, była modelką Diega, to dziwny człowiek, no, cóż – artysta, rzucił ją potem, ale ona ma teraz chłopca, chodzą ze sobą. Robiło się z nią nie wiadomo co, gdy ją Diego rzucił, Boże, jak płakała! – A pani? – mówiła dalej. – Pani też artystka. Może on panią będzie kochał. Ale pani jeszcze nic nie wie. Bo to bardzo bierze. Pani dopiero zobaczy, jak to bierze.

Nie mogłam sobie miejsca znaleźć po tej rozmowie. Bierze! Była modelką! A potem on ją rzucił! Tylko że przedtem spali. Poszłam do Diega, żeby mu na ten temat coś powiedzieć. Męczyły mnie wyjątkowo przykre wizje, wiodłam nieustanny dialog wewnętrzny z Diegiem, mówiłam: Diego, więc ona tak samo tu siedziała, i ty stałeś za sztalugami, i patrzyłeś na nią, na tę rzepe, nie kłam, gapileś się na jej czerwone cyce, czy dotykałeś ich tak samo, powiedz, kto tu jeszcze był, wołałabym, żeby kto inny, byle nie ona, a zresztą pluję na to, babrałeś się w takim obrzydlistwie, już lepiej nic nie mów, wybałuszałeś oczy na jej cyce, słyszysz, na cyce, i z pewnością kładłeś głowę na jej kolanach, okazuje się, że ją potrafiłeś namalować, proszę, proszę, takiego pokurcza, mnie już malować nie będziesz, o nie, Diego, musi być jednak między nami dwiema różnica, chyba nie krzyczałeś przy niej tak samo, kiedy z nią to robiłeś, a może krzyczałeś, może i to też, Diego, co? Taki był mój prawdziwy dialog z Diegiem, ten wewnętrzny, cichy, bo nic nie zostało wymówione na głos, wszystko w sobie stłamsiłam. Głośny dialog potoczył się zupełnie inaczej. Powiedziałam: – Diego, to, co mogłeś mi zakomunikować o siostrze Modeście, nie jest już tajemnicą, znam pewne szczegóły, które widocznie zapomniałeś podać, znam je i kładę na nich krzyżyk. Nie mam pretensji o te wszystkie sprawy. Fiume, Diego, słyszysz? Fiume! Ale teraz proszę cię, powiedz mi tylko jedną rzecz: jak właściwie jest? Czy ty robisz to zawsze z każdą modelką? – W zasadzie nigdy – odparł z niejakim pośpiechem. Ciekawie brzmiało to „w zasadzie”. – W zasadzie nigdy nie robię tego z modelkami. – Nawet się lekko zachnął. – Sztuka... – zaczął coś mówić – sztuka... – i zmienił słowo – praca – powiedział – to jedno, a romanse co innego, należy się trzymać pewnych rygorów. – Potem jeszcze dodał, jakby kończąc zdanie napoczęte w myśli: – Bo trzeba pamiętać, że sztuka to nie burdel. – No ale – odezwałam się. On mi na to: – Widzisz... – i też urwał. – No ale z siostrą Modestą... – Widzisz... – powtórzył. – No ale robiłeś to z nią i...

Nie wiem, co miałam powiedzieć po tym „i”, pamiętam tylko, że właśnie tak na moim „i” utknął nasz głośny dialog, ten sztuczny, z brakującym zakończeniem. Diego był tego dnia czymś wyjątkowo podniecony, wrócił dopiero co z rozmowy w jakimś Komitecie, gdzie widział się z komunistami, przyniósł niedobre wiadomości o sytuacji pod Bilbao, powiedział nagle: – Jestem zupełnie zdrow, nie mogę tak siedzieć. – To mu najwidoczniej zaprzętało głowę. Bo przecież towarzysze walczą i giną, on, który był z nimi na froncie pod Madrytem, wie wszystko, wołali „pasaremos” i „niech żyje Stalin”, idąc do ataku, leżeli także w błocie, poza tym wie, jak nad rannym przebiegają ludzie, których nie można rozpoznać, i jaki cień przelatuje później, kiedy jest cicho i pusto, ale straciwszy dwa palce, nie przestaje się jeszcze być komunistą. Dziś mu poradzono, żeby malował, on jednak nie może tak siedzieć. Przez cały wieczór chodził niespokojnym krokiem po pracowni. A mnie, gdy tylko przestawał mówić, przypominało się, że dotykał tamtej i że na nią patrzył, i że ona musiała o tym nieraz

myśleć podczas jego pobytu w szpitalu, a także podczas rozmowy ze mną, i ciągle były we mnie słowa: no, ale... No ale robiłeś to z nią i... Właściwie co dalej? To „i”, zawieszony w powietrzu, czekało nieustannie dopełnienia. Chwilami mogło się nawet zdawać, że chcę tylko dodać: ze mną. No ale robiłeś to z nią i ze mną. Powoli jednak zaczynał prześwitywać nieco inny ciąg dalszy, jakby po tym „i” miało nastąpić: ja coś takiego jeszcze... No ale robiłeś to z nią i ja coś takiego jeszcze... Obróciwszy wtedy bodaj głowę, Diego byłby może dostrzegł między nami to „i” milczące i zaczajone. Ale Diego tylko chodził i mówił, że towarzysze się nie załamują, wprost przeciwnie, są pewni zwycięstwa, a on nie może tak siedzieć. Więc to głodne „i” zostało jak zawieszony w powietrzu pajak, który na coś czeka.

Po kilku dniach napasałam sobie tego pajaka i to właśnie był mój numer. Znajomy aktor zatelefonował do mnie koło drugiej nad ranem i zwierzył się, że jest cokolwiek urżnięty, lecz o niczym nie marzy prócz tego, by pozostałą część nocy spędzić ze mną. Koniecznie dziś i koniecznie ze mną. Nigdy nie zdarzyło mu się nic takiego, ale on ma w sobie teraz obłąkanego potwora, prosi, żebym przysłała, bo jest mną opętany, coś w tym rodzaju bełkotał. Jakbym na to tylko czekała! Szepnęłam w słuchawkę: – Mój Spodku z oślimi uszami... – Grał kiedyś Spodka ze „Snu nocy letniej”. – Mój Spodku, masz jeszcze coś do picia? – Miał. – Leż tam spokojnie przez kwadrans. – I po kwadransie byłam u niego, trochę jako Tytania, trochę jako zwyczajna prostytutka. W smaku okazała się ta miłość podobna do sieczki, oścista, jałowa i raczej dla zwierząt. Kto wie, czy byłabym się na nią zląkomiła, gdyby Diego, chodząc wtedy po pracowni i nie zdobywając się nawet na obrócenie głowy, mówiąc tylko, jak to on nie może siedzieć, nie był mi dał odczuć, że mówi to w pewnym sensie przeciwko mnie. Ale Diego połknął wtedy po raz pierwszy swój kij.

Nie umiem określić, kiedy zaczęło mi się psuć z Diegiem, bo zaczęło się psuć, nim zdążyło dojrzeć, a przecież później dojrzało, lecz już z bakcylem w środku. Otóż nie wiem, kiedy właściwie załagł się ten bakcyl. Zauważyłam w pewnej chwili, że stoję dla Diega jak gdyby kimś innym, kimś bez ukrytych, jemu tylko wiadomych znaczeń, które mi poprzednio przypisał i w których szukał tajemniczego sensu życia. Ta zmiana dokonała się bodaj owego wieczoru, gdy wrócił z komitetu, lub może później, gdy nieoczekiwanie przystąpił do pracy nad nowym obrazem. Przez kilkanaście dni był całkowicie pochłonięty malowaniem i zdawało mi się, że odnalazł swój talent. Nie musiałam już pozować, modele okazały się w ogóle zbyteczne. Szkiców tym razem nie sporządzał, rzucił zarys kompozycji wprost na płótno: tłum wzniesionych rąk, w istocie same ręce, wyglądało to surowo i groźnie. Zapytałam, co maluje. Odpowiedział jakby trochę półgębkiem, z wyczuwalnym pogłosem nieufności i dystansu: – Zwycięzimy. – Nie zrozumiałam go. – Ale co malujesz? – Właśnie to. Obraz pod tytułem „Zwycięzimy”. – Nie chciał nic więcej powiedzieć o tym obrazie. Dodał tylko, że musi jeszcze namalować jakieś plakaty. W nocy jednak, leżąc ze mną w łóżku, zrobił wielką miłość, namiętą i żarłoczną, jak człowiek nie tyle głodny, ile przerażony możliwością utracenia czegoś bardzo mu drogiego. A potem zupełnie się rozkleił i zaczął opowiadać dziwaczne głupstwa o kształcie jabłka. Był to moment, gdy zagwizdały syreny, ostrzegające przed nalotem bombowym, jednym z licznych już w tym czasie. Diego zlekceważył alarm i nie wstał, chociaż wyraźnie słyszałam, jak mu biło serce. – Ciekawi mnie kształt jabłka – powiedział wtedy tak niespodziewanie, że się roześmiałam. – Więc i ty się śmiesz – skonstatował. – A wiesz, tam pod Madrytem, kiedy mieliśmy pójść do ataku, upiliśmy się przedtem i pijani siedzieliśmy z towarzyszami w rowie. Nikt nic nie mówił, wszyscy patrzyli na pozycje faszystów i bardzo głośno oddychali, a ja miałam jabłko, wyjąłem je w ostatniej chwili i jadłem, nie patrzyłem na pozycje faszystów, tylko na jabłko, które zmieniało kształt, gdy je ogryzałem, bo najpierw było lubieżnie zaokrąglone, jak pośladek dziewczynki, wiesz – powiada – jak dupa, takie, wstydlive, napięte, drażniące, skórka – powiada – cielista wypukłość ze złotą skórką, a potem od ukąszenia zrobił się w nim jamochłon, biały, zięjący polip – mówi – przytrzymałem odgryziony kęs w ustach, a jabłko

zasyczało, uważasz, w ciszy, która tam panowała, słycać było doskonale jego syk, jadłem więc tego syczącego, spienionego potworka, usiłując nie patrzeć w stronę, gdzie mieliśmy pobic do ataku, towarzysze wciąż milczeli, aż został mi w ręku zwiędły, przyrdzewiały ogryzek, wtedy powiedziałem, że kształt jabłka jest bardzo ciekawy, i wiesz, co się stało, spojrzeli na mnie jak na bydlaka, źle spojrzeli, lecz za chwilę ich to rozśmieszyło, wybuchnęli wszyscy przyduszonym rechotem, ktoś mruknął – lepiej nic nie żreć przed atakiem – ktoś powtórzył – kształt jabłka! – no bo cóż, jabłko jak jabłko, nie ma o czym gadać, padła komenda, poderwało nas, jeden zawołał – niech żyje Stalin! – pasaremos! pasaremos! – i pobiegłem z tym krzykiem, czując jeszcze w ustach smak jabłka.

Tak, François, Diego dowiedział się o Spodku.

Dowiedział się znacznie później, pamiętam w każdym razie, że ten obraz, nazwany „Zwycięzimy”, był już gotów.

Przyznałam się sama, ale najpierw on znalazł ślad.

O, mój prefekcie, sprawa jest intymna i żenująca, dotyczy neglizu, o którym kobieta nie mówi. Ja jednak powiem. A powiem dlatego, że w umyśle Diega mogła ta sprawa mieć znaczenie głębsze. Mogła mianowicie odgrywać pewną rolę w stworzonym przez niego świecie urojeń i symboli, wśród których żył nieustannie i których często nie odróżniał od rzeczywistości. Więc ten ślad to była plamka po cherry, po kropelce cherry, strząśnietej na moją halkę przez pijanego Spodka, kiedy się do mnie dobierał, plamka ledwo widoczna, nie doprana, takie drobne, sinawe kólecčko na białym batyście. Diego je znalazł.

No, właśnie, przestrzegałam, że to będzie nieładne.

Więc Diego je znalazł i całkiem bezwiednie, tak sobie mimochodem zapytał: – Co to jest? – Niczego się jeszcze nie domyślał, ale ja nie miałam nawet pojęcia o istnieniu tej plamki i zaskoczona jego pytaniem, okazałam się złą aktorką. Zabrakło mi refleksu, krztyny wyobraźni, po prostu nie odpowiedziałam nic. Diego spostrzegł moje speszenie i nagle siódmym zmysłem odgadł wszystko. W pierwszej chwili przeleciała mu po twarzy ciemna smuga, przyjrzał się jeszcze raz temu zabrudzonemu miejscu na batyście i coś go odrzuciło, jakby się wzdygnął, cofnął głowę, natychmiast jednak nad sobą zapanował, a nawet się z pewnym wysiłkiem uśmiechnął. I już wiedział! Pozostało mi tylko potwierdzić fakt i wyjaśnić, z kim to się zdarzyło i w jaki sposób. Bo Diego wiedział, kiedy! To mnie przeraziło, pojęłam bowiem, że musiał zdawać sobie ze wszystkiego sprawę już wtedy wieczorem, gdy, wróciwszy z komitetu, chodził po pracowni i niby nie słyszał mojego „i”. A więc słyszał doskonale, przyznał to teraz. Słyszał i potrafił wyobrazić sobie ciąg dalszy. A nie obrócił głowy. Wydał mi się raptem odrażający, pomyślałam, że go znienawidzę, ale byłam również ciekawa, co ostatecznie zrobi po wysłuchaniu tej historii ze Spodkiem. O ile go znałam, musiał się czuć mniej więcej tak, jakby połknął żywą pijawkę, i nie byłabym się dziwiła, gdyby mnie za chwilę, grzecznie uśmiechnięty, wyrzucił przez okno. Lecz równie dobrze mógł się zająć malowaniem czerwonych sztandarów. Tymczasem wybrał coś trzeciego. Zapraagnął spełnienia miłości, to przede wszystkim chciał mieć. – Ale, Diego – powiedziałam – czy nie odpycha cię ode mnie tamta sprawa ze Spodkiem, o której teraz wiesz? – Nie. – I nawet nie jesteś zazdrosny? – Wyparł się, chociaż dam głowę, że pijawka ssała go bardzo boleśnie. – Więc przyjmujesz to całkiem obojętnie? – Szepnął: – Nie mów już o tym. – Diego – powiedziałam – na pewno myślisz, że jestem k..., ale to cię podnieca, prawda? – Nie – odparł – myślę o sobie, że ja też. – Co to znaczy? Co to znaczy, Diego, że ty też? – Milczał. – Kurwą jesteś czy jak? – Na to oznajmił z przekonaniem: – Wielką kurwą. – Diego, o czym właściwie mówisz? Chyba nie o tym, co ci się przydarzyło z tą Admirabilis? – Zawahał się, ale odpowiedział: – Tak, o tym. – Diego – krzyknęłam – a kiedy? Kiedy robiłeś to ostatni raz? Czy jeszcze...? – Nie pozwolił mi dokończyć pytania. – Daj spokój – zawołał. Był zdenerwowany. – Daj wreszcie spokój, daj spokój!

Nie wiem, czy ich nadal coś łączyło.



Nie dowiedziałam się nigdy.

Diego mnie wtedy uciszył, a są sytuacje, w których ludzie przestają mówić. Chyba po raz pierwszy przyszło mi wówczas na myśl, że zaczynam być wobec niego bezbronna i że to już działa jak narkotyk. A jednocześnie poczułam wielką ulgę, bo przecież po tych wszystkich wyznaniach pragnął tylko mnie, ulegał temu samemu narkotykowi i tej słabości. Przyjęłam go z pewnym triumfem i posmakiem zadośćuczynienia, byłam w istocie bardzo szczęśliwa, myślę, że dopiero wtedy zakochałam się w nim, przeżywszy ten wspólny upadek czy odwet, coś tak dziwnie połączonego. Albo zakochałam się jeszcze później. Bo może miłość zaczyna się w momencie, kiedy już nie ma w niej odwetu, kiedy się tylko razem upada i krzyczy, a może nawet nie razem, może to już jest samotne upadanie i samotny krzyk. Ach, fume! Fume, François!

Poczekaj.

Zapaliłabym jeszcze papierosa.

Dziękuję, François.

Pewnego dnia zobaczyłam ich oboje na ulicy. Diego się uśmiechał i z ożywieniem coś mówił. Nie widzieli mnie. Byłam tak przerażona możliwością zetknięcia się z nimi, że skręciłam do pierwszej z brzegu bramy i przeczekałam chwilę, ale zaraz potem wybiegłam, żeby ich śledzić. Doszli do następnego skrzyżowania. Tam się pożegnali. Nie dowiedziałam się niczego. A przed Diegiem nie puściłam na ten temat pary z ust. Ciekawiło mnie, czy on coś powie. Nic nie powiedział. Więc może

Zaczęłam wtedy kraść „Luminal”.

Mój przyjazd do Francji nie ma sensu. Nie miał sensu. Gdybym nawet odnalazła tu Diega, mogłoby się okazać, że nie zostałabym wpuszczona za próg. A gdybym została wpuszczona, mogłoby wyjść na jaw, że nie wiedziałabym, jak się zachować. Przyjechałam, żeby coś zrobić, jednak to, co chciałam zrobić, było bardzo niejasne. Rozumiem twoją policję, François. Na miejscu tych flików

Mój prefekcie, mój prefekcie!

Na miejscu tych flików miałabym kiepski humor, słuchając własnych zeznań. A na miejscu prefekta policji czułabym się niespokojna, czy ten dom jest odpowiednim aresztem dla mnie.

Aresztem, François.

Pomyślałam o tym wczoraj. Pomyślałam: no, ptaszyno, jesteś w areszcie. Zapakowano cię, złotko, do wspaniałego ula z ogródkiem i wodą bieżącą. Dostałaś wyborny prowiant i możesz nawet zrobić sobie kuku, ale kuku ci nie wyszło i coś mi się zdaje, że to jest bardzo głęboki ul, z którego łatwo się nie wyłubudasz. W sensie przenośnym i dosłownym, François. Błysnęła mi taka myśl, gdy wybrałam się na małą przechadzkę. Na małą, na małą, tylko tą alejką między migdałowcami, tuż koło domu. Wiedziałam, że wrócisz dopiero w środę, po załatwieniu spraw służbowych, które cię odwołały, i poszłam obejrzeć migdałowce. Widocznie ktoś jeszcze nudził się w ten dzień, bo u końca alejki, na ławce pod płotem, siedział młody człowiek z numerem „Le Figaro” w ręku. Wcale mu się nie spodobałam, nawet nie popatrzył, kiedy się zbliżyłam, znalazł natomiast coś tak ciekawego do czytania, że cały, z uszami, znikł za gazetą. Jak się mogłam następnie przekonać, po południu zastąpił go mężczyzna w średnim wieku, który też tam usiadł, aby pracowicie kręcić młynki laseczką. Pomyślałam więc, że gdybym zechciała przespacerować się nieco dalej, ci panowie przerwaliby może swe monotonne zajęcia i niepostrzeżenie mi towarzyszyli.

Tak tylko przypuszczam.

Ależ oczywiście, François, jesteśmy wobec siebie lojalni.

Wycofałam się z alejki w tym właśnie poczuciu lojalności, rozumiejąc, że nie mogę mieć o nic pretensji, że jednak powinnam skończyć z dwuznacznościami mojej tutejszej sytuacji, którym sama jestem winna, i że będę musiała wreszcie coś przedsięwziąć. Wróciwszy do

domu, powiedziałam sobie: Dolores, dość wygłupów. Popraw się, Dolores, od tej chwili już się popraw, od tego miejsca, w które zabrnęłaś, stąd rozpoczynając, popraw się. Kiedy przyjedzie François, masz mu powiedzieć prawdę. Masz być wobec niego w porządku, jeśli chcesz się wywikłać, ale nie tylko dlatego. Zaufał ci, przewiózł tutaj, na jego odpowiedzialność przebywałeś w tym domku i w ogóle we Francji, zaangażowaliście się razem, a skoro tak, zdaj sobie sprawę, że obowiązuje cię uczciwość podług zaangażowania, stosownie do warunków czy do losu, który wybrałaś lub który ci przypadł w udziale, bo tego już nie wiesz, czy los wybierasz, czy ci on jedynie przypada w udziale. No, trochę człowiek przy nim majstruje. Skądkolwiek się jednak los wziął, wiesz przynajmniej, że jest, i trzymaj się tego, co jest, bądź konsekwentna.

François, to nie było proste. Nie chodzę do kościoła i nigdy się nie modlę, ale wczoraj się modliłam. Po obejrzeniu pana kręcącego młynki laseczką i po zdecydowaniu, że dzisiaj wszystko powiem, nie mogłam w nocy zasnąć. Chciałam przecież kiedyś otruć się dla Diega, a raczej otruć się razem z nim, ta różnica jest w pewnym sensie nieistotna, chciałam bądź co bądź popełnić coś, co dałoby się usprawiedliwić tylko przed Sądem Ostatecznym, jeśli on istnieje, ale co moim zdaniem było uczciwe. Sąd Ostateczny uniewinnia w takich przypadkach, wierzę w to głęboko. Pomyśl więc, François: mam na sumieniu wobec Diega taki dług, o którym on nawet nie wie. A teraz? Teraz przyrzekłam sobie, że będę uczciwa w jakiś inny sposób, ponieważ chcę być w porządku wobec ciebie. Obym tylko mogła! I o to się właśnie modliłam, rozumiesz? O to, żebym mogła. Ciekawa rzecz: w Hiszpanii podczas bombardowań nigdy się nie modliłam. A wczoraj – owszem. Uwierzyłam w istnienie Boga, można to zrobić nie tyle pod wpływem strachu, co pod wpływem samotności, uwierzyłam więc i prosiłam, aby mi dał wolność, wolność od tamtego długu, wolność powiedzenia, wolność zdrady, wolność wszelką. I On mi ją dał. On mnie olśnił. Już mówiłam o tym. Nagle olśnił mnie jak gdyby rozgrzeszającym przypomnieniem tego drugiego samobójstwa, które przecież o dzień wcześniej miało być popełnione tutaj. Więc tylko uśmiechnęłam się z pewną ulgą i pomyślałam: no to coś tak jakby remis, jeden jeden, powiem wszystko, gdy François wróci.

Kim ty jesteś, François? Jesteś prefektem policji. Co chcesz wiedzieć? Przypuszczam, że nie to, co ci opowiadam, lub raczej prócz tego coś jeszcze. Zeznaję przed tobą

Tak, François, zeznaję, że Diego był komunistą, zeznaję według pytań zadawanych mi przez policję, lecz i według własnego sumienia, że był komunistą, a nawet, jak sądzę, fanatykiem najprzykrzejszego gatunku. Zaraz powiem, co to za gatunek. Zeznaję, że opuścił Hiszpanię w chwili, gdy wojska faszystowskie zbliżały się do Barcelony, i zapewne przeszedł granicę z innymi uchodźcami, a obecnie przebywa najprawdopodobniej w Paryżu, ponieważ miał tam znajomości wśród malarzy francuskich, i jeśli partia nie udzieliła mu pomocy, mógł ją otrzymać prywatnie od przyjaciół. Żadnych adresów mi nie podał, żadnych nazwisk, pseudonimów, ja osobiście nie mieszałam się nigdy do spraw partyjnych i nie potrafię wskazać niczego, co naprowadziłoby na ślad, ale

Sięgnę do torebki.

Proszę, oto jego fotografia.

A może zajęto się tym w inny sposób i może już

Wobec tego chciałabym wiedzieć, gdzie jest.

Chciałabym wiedzieć, gdy tylko się coś wyjaśni

Nie przypuszczam, żeby zamierzał uprawiać tu robotę wywrotową, co tak niepokoi policję, on głównie maluje, to nie jest praktyk, zdolny do przytomnego wykonywania jakiegokolwiek roboty, to jest rezoner, obcujący wyłącznie z fikcjami, na fikcjach polega cały jego komunizm i jego życie. Są komuniści różnych gatunków, powtarzam. Zostać komunistą można w dwojaki sposób: z cholernej potrzeby albo z cholernej potrzeby zostają komunistami ci, którzy nie mają co jeść, a widzą, że inni mają i jedzą. To się tak

odbywa: Najpierw ci, którzy nie mają co jeść, patrzą długo na tych, którzy mają. Patrzą i widzą, jak tamci zjadają się i jak im cieknie z brody. Ale nic nie myślą, tylko patrzą i są głodni. Aż kiedyś przychodzi im do głowy, że mogliby tamtych, którzy jedzą, rąbnąć przez łeb, żeby tamci już nie jedli, tylko żeby oni sami jedli. Rozumiesz, François? To jest bardzo proste. Właśnie w taki sposób głodni zostają komunistami, bez wielkiego namysłu, ale z cholernej potrzeby. A jest ich zatręsenie. I ci są dla was rzeczywiście groźni. Wy ich jednak nie potraficie odróżnić od niewielu mędrków, którzy zostają komunistami z cholernego namysłu, jak Diego. Mędrzek, zanim odkryje, że powinien być komunistą, siedzi spokojnie i myśli o całym tym draństwie, które widzi. A myśli bardzo mądrze, i tak, i siak, i owak, o Bogu i bezrobotnych, o Heglu i złotym wieku, o psychoanalizie i spółkach akcyjnych, myśli o tym wszystkim, ale w miarę jak myśli, coraz mniej rozumie. Lecz pewnego dnia spostrzega, że to może być proste: są syści, są głodni, wystarczy zabrać sytym i dać głodnym. Męczył się, trudił, wątpił, ciemniało mu już w oczach od nieustannego wątpienia, tymczasem to może być proste. Więc mędrzek popada w euforię i zostaje komunistą. Wszak nawiedziła go prawda. Prawda i pewność. Mędrzek zmienia się zatem w proroka, ale nie w przywódcę ludu, w innego proroka, w derwisza, który poświęca życie umartwieniom i ekstatycznym tańcom. Ten cały cholerny namysł mędrka kończy się fanatycznymi umartwieniami i tańcem, niczym więcej prócz tańca na cześć prawdy. Mędrka nie obchodzi w istocie, co się dzieje z głodnymi, czy im dobrze, czy źle, mędrzek i tak wie swoje, mędrka obchodzi tylko, żeby mu już nigdy nie ciemniało w oczach. Dlatego mędrkowie, ci komuniści z namysłu, nie są groźni dla was, mogą być groźni dla przechodniów, ale nie dla was. Mówiłam, że to przykry, najgorszy rodzaj komunistów. Co ten gatunek potrafi, wiem ja, bo znałam Diega. Ich okrucieństwo godzi na ogół w kogoś takiego, jak ja, albo w nich samych. Policja nie ma o tym pojęcia i może spokojnie machnąć ręką na tych bezsilnych w gruncie rzeczy maniaków.

Dam ci przykład, François. Jedną noc spędziłam na schodach pod drzwiami Diega, ponieważ w tym czasie uroił sobie, że powinien być ascetą lub czymś w tym guście. Przynajmniej tak uzasadniał, dlaczego musi się ze mną rozstać. Postępowałby niemoralnie, zajmując się kochanką, gdy rewolucja jest w niebezpieczeństwie. Oni mają mentalność kilkunastoletnich dzieci. Ten pomysł wywietrzył mu wprawdzie z głowy dość szybko, ale noc przesiedziałam na schodach, bo oni mają w sobie także bezwzględność, prymitywną, tępą i jakby trochę chłopską. Otóż pewnego wieczora Diego postanowił ze mną skończyć. Zaczęłam nagle przeszkadzać jego fikcjom z jednakowo niejasnych powodów, z jakich im uprzednio niby dogadzałam. Coś bardzo mętnego wyluszczał mi ze dwie godziny. A wniosek był ten mianowicie, że nie będziemy już ze sobą spać. Mówił to nie pierwszy raz i wiedziałam z doświadczenia, co potem robi. Nie załamiał się jednak swoim zwyczajem, więc wyszłam. Biegałam przez pewien czas w kółko po ciemnej ulicy jak wściekła suka, nareszcie wróciłam do Diega z myślą, że go tylko o coś zapytam. Nie pamiętam, o co. O coś ważnego. Ale on też mnie znał. Oboje znaliśmy się za dobrze. W ogóle ta wzajemna wiedza o sobie przekraczała dopuszczalne granice i może dlatego było to wszystko tak przykre. Więc Diego oczywiście przewidywał, że wrócę i kiedy nacisnęłam dzwonek, wiedział, kto dzwoni. Usłyszałam jego kroki, był w mieszkaniu. Podeszedł do drzwi, ale przystanął za nimi, nie otwierał, widocznie też nasłuchiwał. Szepnęłam: –Diego, to ja. Chcę cię tylko o coś zapytać. – Nie odpowiedział. A potem wycofał się do pracowni i tam został, mimo że dzwoniłam długo, uporczywie, ze złością, bo już wpadłam w histerię. Ktoś zamknął bramę na dole. Wyobrażasz sobie? Nie mogłam wyjść z klatki schodowej. Brzmi to śmiesznie, ale moje poniżenie było właśnie tym idiotyczniejsze. Kilka razy w ciągu nocy próbowałam jeszcze dostać się do Diega, a ten osiół skołowaciał tam za drzwiami, sparaliżowany jakimś urojonym przez siebie samym zakazem, i nie wpuścił mnie, uważając, że takie upokorzenie kobiety jest bardziej w zgodzie z etyką niż miłość. Ukryta gdzieś w kącie, przesiedziałam do rana. Strasznie zziębłam. Było już widno, gdy znowu zadzwoniłam, a Diego ruszył się wreszcie i otworzył. Błady, współprytomny,

otworzył bez słowa. Spojrzałam i poprosiłam tylko, żeby mi dał coś do okrycia i pozwolił się zdrzemnąć, bo ledwo stoję na nogach. Ofiarował mi natychmiast swoje łóżko. Sam pokręcił się chwilę i wyszedł z mieszkania. Zaraz usnęłam. A następnego wieczora spaliśmy oczywiście w tym łóżku razem.

Poczekaj.

Przez kilka dni nie było mowy o fatalnym zakazie, który zdaniem Diega, miał nas obowiązywać. A ja chciałam znać powód tej manii wzbierającej w nim od pewnego czasu. Chciałam znać powód prawdziwy, bo kobieta nie wierzy uzasadnieniom zbyt zawiłym, ponieważ uczucia są proste. I nalegałam, żeby mi to wytłumaczył po ludzku. Nie umiał. Gdy wreszcie wydobył z siebie jedno zwyczajne słowo, było ono przykrym kłamstwem: że nie kocha. Zrobiłam wtedy numer z „Luminalem”, no wiesz, ten w kuchni. Uprzednio jednak na moje pytania o powód odpowiadał inaczej. Bo ciągle powtarzałam: – Diego, ale jaki powód? – Zdawał się przerażony: – Och, powód, powód! – Diego, przecież musisz wiedzieć. – Owszem – rzekł. – Wiem! – I powiedział, że pamięta, jak leżąc na łóżku szpitalnym dopatrywał się niegdyś we mnie sensu życia. Przynajmniej tak to wtedy nazywał. Nie przesadzał, wyrażał coś, co rzeczywiście czuł. Między jego ówczesnym i późniejszym nastawieniem nie ma sprzeczności, bo w słowach „sens życia” zawierała się od początku również myśl o komunizmie. Życie, i komunizm są dla niego nierozłączne, on pojmuje życie tylko w ten sposób. Jeśli sobie przypominam, nazwał mnie komunistką w przebraniu. No, miał gorączkę, przeidealizował trochę, dał jednak poznać od razu, czego się spodziewa. Ale to była omyłka, ta nadzieja była omyłką, gdyż ja komunistką nie jestem i nigdy nie będę. Oto gdzie tkwi „powód”? – Dobrze, Diego, – powiedziałam – zapewne nie jestem komunistką i nigdy nie będę, lecz co ma jedno do drugiego, to znaczy ta polityka do miłości, zastanów się, przecież to są dzieciństwa albo zupełnie sztuczne koncepty, mówisz jak dziewiętnastoletni student. – Nie, to jest myślenie dialektyczne. – Jakie? Dia–lek–tycz–ne – powiada. – Oszalałeś? – Nie oszalałem. Po prostu rozumiem prawa, którym podlegam. Byt określa świadomość. – I tu zaczął: jesteśmy cząsteczkami wśród milionów cząsteczek, od których zależy i które od nas zależą, jesteśmy kroplami w rzece, płyniemy tak, jak musimy, zgodnie z biegiem rzeki, do ujścia, my – ludzie, my razem z naszymi myślami, wolą i uczuciami, my – wytwory stosunków społecznych, wciąż poruszający się w nieodzownym dla nas kierunku, spadający korytem rzeki w dół, ku ujściu. Tak płyniemy, pieniać się i szumiąc, występując z brzegów albo tworząc wiry, i jeśli nawet pojedyncza kropla odprysnie, jeśli osiadzie na przybrzeżnym liściu czy kamieniu, to z niego spłynie i wróci ostatecznie do właściwego nurtu. Chyba że przedtem wyschnie. Taki jest byt nieuchronnie nas określający, podobny do rzeki, tak unosi naszą świadomość, tę rozchełstaną pianę, te bąbelki naszych poglądów, naszych praw, sumień, polityki, miłości. – Niewolniku – mówię mu – czy nawet uczucia ktoś ci dyktuje? – Owszem, w ostatecznej instancji. – Cóż to za instancja, Diego, cóż to za jakaś ostateczna instancja? – Tym słowem posługiwał się często, znałam je od dawna, używał go na ogół wtedy, gdy chciał dowieść rzeczy zbyt nieprawdopodobnych i nie mógł powołać się na nic realnego. Więc powiedziałam: – To tylko słowo, za którym nic nie ma. – Popatrzył zdumiony: – Jak to nie ma? Czego nie ma? Ciebie? Mnie? Faszystów? Klas? Wojny? Nie ma bytu? Nie ma tego wszystkiego? I przyczyn tego? I przyczyn tych przyczyn? I sprzeczności między nimi? I decydującej przyczyny, która sprawia, że to wszystko jest w skutku takie, jakie jest, a nie inne? – Być może, Diego, ale kto widział decydującą przyczynę? – O, zobacz – przerwał mi. – Zrobię ją dla ciebie. – A miał pod ręką pudełko zapalek. – Tu patrz! – Wysypał zapalki na stół. – To będzie proste i ty to przyjmiesz. – Ułożył dwie zapalki na krzyż, koniec tej, która była z wierzchu, obciążył pudełkiem. Wówczas drugi koniec uniósł się w górę, a Diego oparł na nim trzecią zapalkę, na tej trzeciej czwartą, następnie piątą, robił to bardzo zręcznie, aż połączył w taki sposób ze trzydzieści zapalek i wreszcie ostatnią przycisnął palcem. – To jest ostateczna instancja – powiedział – ten mój palec. A to – wskazał

pudełko, które się poruszało – to jest ostateczny skutek. A między nimi jest łańcuch przyczyn i skutków. I ty to przyjmiesz, prawda? – Wydał mi się zupełnie groteskowy. – Ty przyjmiesz ten model? – powtarzał. Nie byłam pewna, czego ode mnie chce, zgody czy protestu, ale pomyślałam, że zapalki, które sobie ułożył, są dla niego ważne i że niezależnie od ich znaczenia on tylko tak rozumie świat, przez model. – Ty to przyjmiesz – wołał. – To uznasz. Warn to dogadza. – Zaczął nagle używać liczby mnogiej, jakby się zwracał do kogoś jeszcze poza mną. – Wy byście chcieli, żeby tak było. Oczywiście! To uzna każdy filister. Bo tu każda przyczyna może mieć tylko jeden skutek, bo zrobiłem ten model z zapalek, każda zapalka może w nim tylko naciskać sąsiednią zapalkę, zawsze tak samo, zawsze z jednakowym wynikiem, więc to rozumiecie i na to się zgadzacie, bo to nie jest model dialektyczny, to jest martwota, to właśnie jest niewolnictwo, bez walki przeciwieństw, bez wielości wyborów. A wiesz – powiada – gdyby to miał być model dialektyczny, musiałbym zamiast zapalek użyć czegoś innego, na przykład ptaków. Słyszysz? Ptaków! I mógłbym ich użyć. I model by działał! – Zaskoczył mnie tymi ptakami, ale spytałam tylko: – Czy będziesz je bardzo męczył, aby ci poruszyły jakąś dźwignię? – Och, nie bądź śmieszna. Nie idzie o dźwignię, idzie o przyczyny i skutki. A ptaki mogą latać, jak zechcą. Niech każdy polecie gdzie indziej. Albo niech siedzą w gniazdach. Albo skaczą z gałęzi na gałąź. Bo one robią to w rzeczywistości, swobodnie i nieregularnie. Więc zostawiam im wolność w przestrzeni, zostawiam wszystkie drzewa, pola, a także wszystkie melodie, które się im spodoba zaćwierkać. Będzie tak, jak w naturze, ponieważ ma to być model dialektyczny, prawdziwy. Ale wystarczy, żeby w tym modelu każdy ptak musiał zrobić tylko jedną rzecz stałą i określoną, podobną do naciśnięcia zapalki przez zapalkę, a już coś poruszy, spowoduje, już zawiąże jedno ogniwo w łańcuchu przyczyn i skutków. I model się potwierdzi. Model zacznie działać, bo każdy ptak polecie szukać pożywienia. A to będzie źródłem regularnych skutków i to byłoby podstawą regularności modelu, gdybym go chciał zbudować. Ale nie zbuduję, ponieważ istnieje w przyrodzie. I jednak ty go nie widzisz, co? Nie widzisz, ograniczenie klasowe nie pozwala ci dostrzec. – Słuchaj, Diego – powiedziałam – ale jaki powód? – Powód czego? – Tej nocy na przykład, kiedy mnie trzymałeś pod drzwiami. – No przecież mówię. – I tej następnej, kiedy ze mną spałeś. – Na to umilkł. – Diego, nie widzę palca, który t o porusza. – Nic nie zrozumiałaś – rzekł po chwili. – Człowiek nie jest drewnianym kołkiem, raczej ptakiem, może być nieprzytomnym ptakiem. Albo po prostu świnia. Daj mi spokój – powiedział nagle.

W tym czasie miał już niemiły zwyczaj umyślnego głuchnięcia w rozmowie i stawania się nieobecny, mimo że siedział tuż obok. Potrafił tak wyłączony przesiedzieć godzinę, zaczął też w podobnie przykry sposób nieruchomieć, gdy ze mną leżał, było to obraźliwe i ponure. Wdało się między nas coś niezdrowego, wspominam te najgorsze tygodnie z uczuciem odrazy, jak chorobę. Nasza miłość nieustannie trwała, lecz trochę już wbrew naturze. Diego mówił: – To jest potworek. – Według niego naruszyliśmy jakieś prawa, których przekroczenie prowadziło do zwyrodnień. – Mówił: – Człowiek wiele może, ale nie powinien, zdaj sobie sprawę, że musimy z tym skończyć. – Człowiek nie powinien! W tym „nie powinien” szło jednak ciągle o model. Miał model i męczył się tylko wątpliwościami, czy żyje z nim w zgodzie. – My nie jesteśmy wodą stojącą – powiedział kiedyś, nawiązując jeszcze do porównań z rzeką i używając liczby mnogiej podobnie jak wtedy, gdy mówił do mnie „wy”. – My nie jesteśmy kałużą, my płyniemy, my potrafimy torować drogę przez góry, my przebijamy skały – krzyczał. – My robimy to, my robimy owo. Człowiek wiele może. Człowiek nie powinien. Prosiłam, żeby mi pokazał wreszcie powód w sobie samym, nie w modelu. Bo przecież musi istnieć przyczyna bezpośrednia, jego przyczyna, w nim tkwiąca. To chyba jasne. – Widzisz – powiada – tam pod Madrytem, kiedy szliśmy do ataku, przestałem w pewnej chwili odróżniać, co jest we mnie, a co poza mną, moja głowa zmieniała się w kocioł pełen gorąca i huku, biegliśmy, byli przed nami faszyci i był krzyk, nie wiem, czy

krzychałem, biegliśmy, aż upadłem i dopiero wtedy zrozumiałem, że nie ja biegnę, ale ktoś inny, i dopiero później domyśliłem się, że jestem ranny, więc widzisz – powiada – tam pod Madrytem straciłem poczucie granicy między samodzielnością i zależnością, tak bywa, czasem nie odróżnia się pobudek wewnętrznych od zewnętrznych, nawet gdy są sprzeczne, bo tam wewnątrz mnie był strach i było jedno wielkie skurczenie, a rozkaz, żeby atakować, przyszedł z zewnątrz, i ten okrzyk „pasaremos”, na który przecież poderwaliśmy się, też przyszedł z zewnątrz, i wszyscy moi towarzysze nie byli we mnie, lecz gdzieś dalej, poza mną, i wszystkie przyczyny pójścia do ataku były dalsze, mniej moje, mniej własne niż ten strach, ten kurcz hamujący, no, widzisz – mówi – a pobiegłem, coś przeważało, coś z zewnątrz, kto wie, czy w takich sekundach nie rozstrzyga właśnie ostateczna instancja, to możliwe, tego się nie czuje. Czekaj – powiada – pobiegłem z innymi, lecz musiałem jednak zechcieć. A wiesz – dodał – tego się chce, chęć jest równie silna jak strach, ale dopiero wtedy, gdy się już biegnie, wtedy się nieludzko chce biec, aby przebiec. I widzisz – powiada – oni tam ciągle to robią, teraz może też, pomyśl, oni biegną, a ja co? Czym ja się tu zajmuję, kiedy oni zostali pod Madrytem? – Z taką pogardą mówił, czym się zajmuję, jakby za chwilę miał stwierdzić, że burdelem, i jakby mu nie szło wcale o niewłaściwą porę tych zajęć, lecz o samą treść, która jest niemoralna. – Diego, a twój obraz? – Jaki obraz? – Namalowałeś przecież obraz, to płótno „Zwycięzimy”, namalowałeś je nie dla mnie i nie dla siebie, tylko dla twoich towarzyszy, wiem, przecież poradzili ci, żebyś malował. Do wojska naprawdę nie mogłeś już wrócić, ale namalowałeś obraz. – Zareagował inaczej, niż się spodziewałam. Popadł nagle w nieopisaną złość. Krzyknął: – Tak, tak, nie dla siebie, zgadłaś, to był zły obraz, w nim jest fałsz właśnie przez to, że malowałem go nie dla siebie. Ja bym ci pokazał prawdę, ja wam wszystkim pokażę jeszcze prawdę. – Nie możesz – mówię – obwiniać mnie, jeśli nawet ten obraz udał ci się mniej niż inne. – A nie, nie, co ty, nie obwiniam cię o nic. – Speszycie go to potrącenie drażliwych miejsc jego ambicji. – Czego właściwie chcesz ode mnie? – zawołał. – Po co przypominałaś mi ten obraz? Obraz nie ma tu nic do rzeczy. Powiedziałem ci, dlaczego musimy z tym skończyć. – Był już nadwątlony, mniej pewny siebie, więc pomyślałam: no, teraz, kiedy się tak zachwiał, trzeba drażnić do dna. – Diego, wszystkie twoje tłumaczenia są fałszywe, nie przyjmuję ich, ty ich także nie przyjmujesz, nie bądź tchórzem, Diego, przyznaj, że idzie ci o Spodka. Przyznaj, że od tamtej chwili jestem dla ciebie k..., że tak myślisz, że nie możesz zapomnieć o Spodku i to jest powód. – Ach, nonsens – zachnął się. – Twój Spodek ani mnie ziębi, ani grzeje. To jeszcze nie zdążyło stać się powodem. To nie zdążyło zboleć. – Więc jedno z dwojga, Diego. Posłuchaj i wybieraj: Spodek czy Modesta? – Osłupiał: – Co ci przyszło do głowy? – Modesta, Diego? – Co ci przyszło do głowy? – powtórzył. – Ależ nie – mówi – nie Modesta. Podchodzisz do tych spraw bardzo naiwnie, Dolores, powiadam ci, że nic nie rozumiałaś. To, co robimy, jest złe. Dlatego musimy z tym skończyć. – Zawołałam: – Nie, Diego, powód nie może być taki. W miłości działają tylko powody, które ona sama stwarza. – On: – Nigdzie nie działają takie powody. Każdy sięga korzeniami w głąb życia, jak drzewo, a korzenie ma splecione. Tylko... – Umilkł na chwilę. Umilkł i nagle się przybliżył, objął mnie za szyję, tak to zrobił, jakby miał rozpocząć pieszczotę, oczy mu się rozszerzyły, ale nie chciał jeszcze pieszczoty. Szepnął: – Tylko wiesz, co ci powiem? Z tych głębszych powikłań można sobie czasem nie zdawać sprawy. Są rzeczy, których człowiek nie zna.

Uświadomiłam sobie wtedy, że on nie wie, jaki jest powód, i że daremnie czekam, by się do czegokolwiek przyznał, ponieważ nie wie rzeczywiście i może się przyznać tylko do tej niewiedzy. Więc zapytałam go, gdy tak siedział, obejmując mnie za szyję: – Jak myślisz, Diego? Czy Bóg jest? – Nie – odparł. – Boga nie ma.

On wiedział, że Boga nie ma! Nie wiedział, dlaczego odtrąca od siebie kobietę, którą kocha, ale wiedział, że Boga nie ma. Uświadomiłam sobie wtedy jeszcze coś: on nie wiedział, jaki jest powód, ale wierzył, że jest. Będąc pewnym, iż Bóg nie istnieje, wierzył we władzę przyczyn i konieczności, w tę rzekę unoszącą go, musiał pewnie wierzyć albo chciał, bo na

każdego przychodzi taka chwila, gdy pytają go o jakiś powód, a powodu brak, i wówczas każdemu cholernie chce się mieć coś, co by go mogło unieść, wolę boską, rzekę lub maszynkę z zapalek. – Boga nie ma – mówił – ale to, co robimy, jest złe i nie powinniśmy tego robić. Zapytasz mnie jak przedtem: dlaczego to jest złe? Jaki powód tego „nie powinniśmy”? Otóż właśnie są rzeczy, których człowiek nie zna, bo jeszcze nie poznał, albo nawet inaczej, może nie zna, bo już zapomniał? Słuchaj, to istotnie tak wygląda: czasem człowiek wie, że coś jest złe, a nie potrafi uzasadnić, dlaczego. Powiada: grzech. Nie powinienem tego robić, bo to jest grzech. Albo powiada: tabu. Nie powinienem tego robić, bo to jest tabu. Powtarza przez tysiąclecia taką jedną rzecz wyniesioną z ciemnej przeszłości, taki zakaz, którego motywów nie zna. Może zapomniał? – I usłyszałam najdziwniejszy wywód, jaki Diego kiedykolwiek wygłosił, szczyt wszystkiego, François. Ale muszę dodać, że mnie to napełniło nadzieją, bo miałam podstawy, by uznać ów niesamowity koncept za przebłysk rozsądku i poniekąd objaw trzeźwienia. Jeszcze coś muszę dodać. Gdy Diego zaczynał ten swój szczególny popis filozoficzny, ręka, którą mnie przez cały czas obejmował, osunęła mu się jakoś tak nagle tutaj, o, na moje piersi, poczekaj, tutaj się osunęła i już tak została. – Boga nie ma – powiedział. – Biblię napisał człowiek, nie Bóg, ale popatrz – mówi – co w niej napisał. Popatrz, jakie wiadomości, przez jakie niepamiętne pokolenia, przez ile ust, przez jakie Babilony, a może przez jeszcze głębszą prehistorię niósł i przeniósł, by je umieścić w świętej księdze, ponieważ widocznie sądził, iż są najdonioślejsze. Myślę o Genesis – mówi – o samym początku Genesis. Wiadomości dotyczące ludzi są tam bodaj cztery: najświeższa o wieży Babel, trochę wcześniejsza o potopie, jeszcze wcześniejsza o zbrodni Kaina i ta pierwsza, która mnie najbardziej niepokoi, o wygnaniu z raju. Wieża Babel istniała rzeczywiście. Były takie świątynie babilońskie, bardzo wysokie, wznosili je niewolnicy różnych narodowości i nie dziwi mnie, że na koczowiskach pustynnych opowiadano sobie potem przez długie lata o pewnej niezwyklej budowli sięgającej nieba. Potop zdarzył się rzeczywiście, uczeni znaleźli ślad powodzi, która zalała Mezopotamię, i też nie dziwi mnie, że przetrwała pamięć o rzeczy tak straszliwej. Te dwie stosunkowo świeże wiadomości odpowiadają zdarzeniom prawdziwym. Lecz nie wątpię, że w zaraniu dziejów istniał również wynalazca morderstwa, bo pierwotni zbieracze ziół nie umieli się jeszcze zabijać. A czy wiadomość o grzesznym spożyciu jabłka, o pierwszym występku kobiety i mężczyzny, o ich akcie płciowym, który wywołał gniew Boga–Ojca, nie może być echem zdarzenia rzeczywistego? Wiele plemion praktykuje po dziś dzień tabu seksualne. Myślę, że wiadomość o zakazanym owocu pochodzi także z doświadczenia. Ta smutna baśń mówi prawdę. Ktoś kiedyś w zamierzchłej przeszłości musiał naruszyć pierwotne tabu seksualne na przekór jakiemuś ojcu, stwórcy, dobroczyńcy, żywicielowi i władcy niepodzielnemu, ktoś musiał złamać zakaz, którego tamten łamać nie pozwalał, a baśń przechowała mgliste, lecz gorzkie wspomnienie o samej rzeczy i jej wstrząsających skutkach. Lecz jeśli to się zdarzyło, musiało się zdarzyć dawno, a jeśli zdarzyło się dawno, musiało być niesamowite, bo tylko wypadek niezwykle mógł przeniknąć pamięć ludzi tak głęboko, by nawet po dziesiątkach tysięcy lat on właśnie wydał się nieszczęściem nad nieszczęściem, nieszczęściem głównym, pierwszym, wręcz początkiem losu. Nie wiem, jak się odbyło złamanie tego tabu, ale przypuszczam, że stało się wówczas coś potwornego. Ta potworność przeszła na nas, żyje gdzieś w przyćmionych zakątkach naszej świadomości i sprawia, że odczuwamy zawsze pewien niepokój moralny na myśl o akcie miłosnym, jak gdyby mimo woli uważając go za występki, którego nie powinno się popełniać. Każdy ma takie poczucie, tabu trwa. W Rosji zaraz po rewolucji panowała swoboda seksualna, a potem towarzysze uznali ją za błąd, teraz tam się przestrzega czystości, tam się ją krzewi, popatrz, właśnie w Rosji, to musi być przemyślane. A może nie? – powiedział nagle – może to nedorzecznosc, może tylko bezsensowne tabu? – Gdy tak powiedział, pocałowałam go. Przez cały czas pieścił mnie, no, tutaj, wiesz, mówiłam ci, wciąż to robił jakby trochę bezwiednie, ale uparcie, więc byłam już

rozbudzona pieśczołą, a wydawało mi się, że w swoich rozmyślaniach doszedł do granicy, za którą zobaczył wreszcie absurd, i to właśnie, jak wspomniałam, nappełniło mnie nadzieją i jeszcze większym podnieceniem. Pocałowałam go raz, drugi, przyjął pocałunki dobrze, postarałam się wywołać w nim pożądanie – o, teraz! – pomyślałam – teraz będę go może mieć naprawdę. I on dawał się tak zagarniać i wchłaniać, ja go brałam, ja! I czyniłam to z poczuciem wyjątkowo przewrotnej rozkoszy, grzesznej – powiedziałabym – ale nie, to chyba niemożliwe, coś pomieszałam, bo jeszcze przedtem Diego wyjaśnił mi do końca tę zagadkę tabu i grzechu pierworodnego, wszystko połączyło się jakoś w mojej pamięci i przeplotło, Diego wtedy zawołał: – Wiesz, co Freud mówi o tabu? – Freud! W tym był właśnie cały Diego, w takich przejściach od Marksa do Biblii, od Biblii do Freuda. – Wiesz, co Freud mówi o tabu? A opiera się na Darwinie – dodał znacząco. – Darwin mówi, że na samym początku, wtedy, gdy pierwotne gromady ludzkie żywiły się owocami stepów i lasu, był w każdej gromadzie jeden mężczyzna przewodzący, najstarszy i najsilniejszy, jeden ojciec potężny, surowy i czujny, podobny jeszcze trochę do samców, przewodników stad. I był to również jedyny ojciec w znaczeniu dosłownym, jedyny rodzic, ponieważ właśnie prawem zazdrosnego samca bronił przystępu do kobiet wszystkim innym mężczyznom, obcym natrętom i własnym synom. On więc tylko miał możność miłosnego obcowania z kobietami, on jeden znał tajemnicę zakazanego owocu, a strzegł jej zachłannie i nie dzielił z nikim przez tysiące lat. Powiadam ci, że był to żywy Bóg Ojciec. To on mówił: „z każdego drzewa rajskiego jedz, ale z drzewa wiadomości złego i dobrego nie jedz, bo którego dnia będziesz jadł, śmiercią umrzesz”. I powiadam ci, że jedli mimo przestróg i umierali, zabijani przez ojca. Albo też musieli z jego wyroku opuszczać życiodajne miejsca popasów i ginęli, wypędzeni z owych rajów, lub zakładali nowe gromady, jeśli szczęście dopisało, i stawali się w nich Bogami Ojcami. Więc wiesz, co Freud mówi o tabu? Freud mówi, że pewnego dnia młodzi synowie, patrzący pożądliwym okiem na swe siostry i matki, sprzysięgli się przeciwko ojcu i połączonymi siłami natarli na tego stróża rozkosznej tajemnicy, zamordowali go, a potem zjedli, bo skoro zamordowali, musieli także zjeść. Rozszarpali więc na kawałki i pożarli ojca przedwiecznego zapewne w pośpiechu, oszołomieniu i podnieceniu płciowym, gdyż tej niesamowitej uczcie towarzyszyła również orgia z kobietami, które, zabiwszy ojca, posiadli. Tak poznali akt miłosny, lecz to pierwsze doświadczenie skojarzyło się im na zawsze ze smakiem pożeranego ojca, z przestępstwem i poczuciem winy. Stąd dopiero wywodzą się późniejsze, niezliczone postacie tabu totemicznego, mianowicie z przełomowej chwili, gdy ojcobójcy rzekli sobie: nie, tego już nie róbmy w naszym klanie, tego nie powtarzajmy, niech nikt nie je ojca, bo wszyscy jesteśmy teraz ojcami i każdy mógłby być tak samo zabity i pożarty, niech więc nikt nie je ojca i niech nikt nie robi tego z żadną kobietą w naszym klanie. Chcieli położyć temu kres i zapomnieć, a jednak coś nie pozwalało im zapomnieć. Znaleźli surogat ojca w zwierzęciu, uczynili je swoim totemem i nie jedli zwierzęcia. Dzisiaj nie czcimy totemów, ale jesteśmy ludźmi, potomkami tamtych, i nasze poczucie grzechu seksualnego, niemoralności samego aktu, pochodzi stamtąd, rajskie jabłko przesiąkło krwią ojca, ma jej smak, tam jest powód! – krzyknął. I właśnie grzech, który ja z nim wtedy spełniałam, bo pamiętam to tak, jakby wszystko działo się jednocześnie, chociaż coś tu pomieszałam, ten nasz grzech miał smak nieprawdopodobny, zdawało mi się, że pożeramy ojca, zwierzę, Boga i powód, nieszczęsny powód, upiorne widmo, gdzieś tam wylaniające się z ciemnej podświadomości. Zdawało mi się, że zjadamy ten powód, grzesząc przekornie i absolutnie, że on znika w nas, w naszych brzuchach podczas tego aktu.

Nic już nie odpowiedziałam na wywód Diega o tabu, szepnęłam tylko: – Dobrze ci? – I Diego westchnął: – Dobrze mi.

A potem nastąpiły jeszcze tygodnie spokojniejsze, może miesiąc. Nie wracaliśmy przez pewien czas do tych fatalnych spraw, Diego jak gdyby coś zrozumiał, jak gdyby



przewycięzył w sobie manię, zniszczył jej gniazdo. Zatrościłam się o jego obiady, garderobę miał w okropnym stanie, przejrzałam ją i doprowadziłam do porządku. Zezwalał na to raczej obojętnie, wodząc za mną wzrokiem i nie przypisując znaczenia moim czynnościom, a chodziłam już koło niego jak poczciwa kwoka. Fikuśnie musiały wyglądać w takich scenach. Byliśmy prawie małżeństwem i nic nie zdradzało, że Diego żywi gdzieś wewnątrz siebie dawną myśl o rozstaniu, która się w nim rozrasta, że ją żywi teraz tak milczkiem, ostrożnie, podczas wspólnych obiadów albo przy goleniu. Pewnego dnia udało mi się kupić na targu świeżą rybę, o żywność było już wtedy bardzo trudno, dostałam więc tę piękną rybę i przyniosłam w koszyku taką trzepoczącą, śliską, położyłam w kuchni u Diega, miałam ją przyrządzić na wieczór. Doskonale pamiętam, jak ta ryba leżała, kiedy Diego nagle wszedł i powiedział: – Przekroczyli już Ebro. – Znaczyło to, że wojna jest prawdopodobnie przegrana. I Diego, stojąc tam w kuchni naprzeciw ryby, która z wolna dogorywała, wspomniął po raz pierwszy o swoim zamiarze wyjazdu. Ale stwierdził, że tylko on musiałby uciec, gdyby faszyści mieli zwyciężyć w Hiszpanii. On musiałby się przedtem urwać – tak powiedział. O mnie ani słowa. – A ja? – spytałam. – Ty? – Pamiętam, jak muskuły na jego czole drgnęły, jak otworzył usta i wciągnął powietrze do płuc, widzę go jeszcze teraz, jak stoi odwrócony twarzą ku oknu i ma się odezwać, a pod oknem leży ryba, i on ciągle stoi w słońcu z lekko przymrużonymi oczami, i wreszcie mówi coś, czego nie powinien był już powtarzać, a jednak mówi znów to samo: – Przecież musimy z tym skończyć. – O, Boże, Boże! – zawołałam. – Dlaczego? Czy tylko dlatego, że faszyści przekroczyli Ebro i mogą wygrać wojnę? – Nie, nie dlatego. – Pamiętam, jak zrobił potem pół kroku w stronę okna i przyjrzał się rybie. Nie mnie, lecz rybie. Było bardzo cicho. A ta ryba rozdęta i zakrwawiona, leżąca na boku, z rozwartym pyskiem i nabrzmiętym okiem, poruszała skrzelaми. Aż w pewnej chwili sprężyła się, konwulsyjny wstrząs wyrzucił ją w powietrze, zaraz jednak opadła na ten sam bok i znów leżała z nieruchomo błyszczącym okiem, wydymana miarowymi wdechami i wydechami skrzeli, które lekko krwawiły. I widzę jeszcze, jak po tym jej skoku, gdy z łoskotem spadła, on przestaje patrzeć na rybę, odwraca się do mnie i mówi: – Dlatego, że cię nie kocham. – I patrzy na mnie.

Teraz, François, wiesz chyba wszystko. Mogę dodać, że przed wyjazdem zdążył namalować jedno bardzo dobre płótno. Bo zanim jego wyjazd stał się konieczny, minęło sporo czasu, a niektórzy ludzili się do końca, że Franco przegra. W tym całym chaosie Diego pracował nad obrazem. Dał mu, jak zwykle, nieoczekiwany tytuł, lubił tytuły literackie, więc to płótno nazywało się „Cień wielkiego ptaka”. Nie było tam jednak cienia i nie było ptaka, trudno określić rzecz, którą Diego na tym obrazie wymalował, ale było to coś przypominającego opadanie i zawrót głowy, była jak gdyby spirala, fioletowo-biała spirala ze smugami czerwonych świateł, obłok pyłu, unoszący rozproszone ułamki przedmiotów i ciał o mglistym kształcie.

Wszystko to ulatywało gdzieś w głąb obrazu, ale i w dziwny sposób zawracało stamtąd, ten obraz się ruszał, sprawiał wrażenie pulsowania i jakby oddychał. Nie rozumiałam, dlaczego to jest cień ptaka. Diego wyjaśnił, że nie idzie mu o wygląd cienia, lecz o sposób, w jaki odczuł pewne zdarzenie, bo to, co namalował, zdarzyło się w jego życiu i było wówczas czymś podobnym do sprawy przedstawionej na obrazie, tak go to ogarnęło i miało taki kolor, ale ogarnęło go tylko na chwilę i potem przeszło, jak przechodzi cień lecącego ptaka, więc pomyślał wtedy, że może przeleciał nad nim ptak. Działo się to pod Madrytem, kiedy już leżał ranny. Nie czuł bólu – mówi – nie, dopiero później w szpitalu, a tam nie czuł, słyszał jedynie huk i miał w ustach ziemię, widział pędzących ludzi, o których nie wiedział, kim są, rozumiał, że coś się z nim stało, ale nie rozumiał co, był mokry i ciężki, spróbował się ruszyć i jakoś nie mógł, aż uświadomił sobie, że jest ranny, i pomyślał, że pewnie umrze. Wtedy podniósł głowę, a gdy ją podniósł, huk przycichł, zrobiło się pusto i wszystko wokół zmętniało. Wydaje mu się, że potem wstał, gdzieś szedł po jakiejś łące, pamięta niebo i trawę,

długo tak szedł zupełnie sam i wreszcie zdarzyło się to, co namalował, nie wie, czy to było na łące, o której majaczył, czy na placu, gdzie leżał ranny, ale pamięta właśnie taką rzecz, jaka jest na obrazie, taką nachodzącą na niego ciemność, ona go pochłonęła, był w niej – o tu – powiedział, wskazując palcem obraz – w środku tego byłem. – Więc kiedy to po nim przeszło, spojrział w niebo; widocznie się ocknął; spojrział, żeby zdać sobie sprawę, co to było, czy nie ptak, ale zobaczył tylko niebo, ogromne białe niebo, jak nad tamtą łąką, a dalej nie pamięta już nic, dopiero lazaret. Musi to jeszcze domalować – powiedział – bo ten cień wielkiego ptaka przeszedł nad jego życiem, nie zapomina się takiego cienia, jeśli się go raz widziało. I malował niemal do ostatniej chwili. Wyjeżdżając, wziął chyba to płótno z sobą.

Zjadłabym coś, François.

Na przykład wątróbkę, jak w bistro.

Świetna była ta wątróbka, którą sobie wybrałam z bufetu, gdy zaprosiłeś mnie w sobotę do bistro. Zjadłabym taką samą.

Wyglodziłam się jednak w Hiszpanii. Miałeś w sobotę doskonały pomysł, żeby wstąpić po drodze do tego śmiesznego, maleńkiego bistro. Ale wino uderzyło mi chyba do głowy, prawda?

A wiesz, coś ci powiem. Kiedy siedzieliśmy przy barze na tych wysokich stołkach, pomyślałam sobie, że byłabym w cholernej kropce, gdybyś mnie w pewnej chwili objął. François, ja tam w barze nie pomyślałam jeszcze nic więcej, tylko to, że byłabym w cholernej kropce, gdybyś się do mnie zbliżył. Teraz, kiedy usłyszałeś wszystko o Diegu, chcę, abyś wiedział, jak było z nami w sobotę. Nie miałam żadnych zamiarów, wstępując do bistro. Ale wyobraziłam sobie, co możesz zrobić, i zaczęło mnie to jakby ssać. Nie powiem „pociągać”, nie, zaczęło lekko ssać takim ssaniem, które gdzieś z przetyku idzie do głowy, i nawet nie wiadomo, czy to jest pokusa, czy strach, wiadomo tylko, że coś bardzo ssie. A ty spojrzełeś raptem tak, jakbyś zgadł, co sobie wyobraziłam. Chcę ci dokładnie wytłumaczyć moment, który potem nastąpił, gdy zachowałeś się w istocie bezczelnie, kładąc mi rękę na kolanie. Chcę ci powiedzieć, co wtedy myślałam. Bo nie myślałam, że przyjęcie twojej oferty dobrze mi robi, mylisz się, jeżeli tak przypuszczasz. Poczułam tylko, że mnie znów diabelnie zassało, i przypomniałam sobie muchę, której kiedyś w dzieciństwie urwałam główkę. Ta mucha zaczęła się kręcić w kółko, strasznie bzycząc, i miejscem po urwanej główce próbowała jak gdyby wywiercić dziurę w ziemi. A mnie się zdawało, że ona szuka głowy. To sobie przypomniałam, gdy trzymałeś mi rękę na kolanie. Szepnęłam ci do ucha: – Jestem muchą bez głowy – pamiętasz? Wyraźnie się wtedy ucieszyłeś i rzeczywiście było już jeden zero dla ciebie.

François, poczekaj, musisz to dobrze zrozumieć, będziesz mnie pewnie miał dość, ale musisz zrozumieć. Jestem aktorką, owszem, daję ci tu wielki spektakl, ty jednak nie zaczynaj uważać się teraz, po wysłuchaniu całej tej historii z Diegiem, za przypadkowego statystę, który dostał się przez pomyłkę na niewłaściwą scenę i jest tym rąbnięty. Nie, François, tak nie myśl. Też zagrałeś niezłą rolę, mój prefekcie, i nie mów, że mógł ją zagrać ktokolwiek inny, obrazasz mnie tym.

Popełniłeś tylko jeden błąd: nie widziałeś mojej urwanej głowy. Innych omyłek nie było.

Przypomnij sobie.

Kiedy przed północą wychodziliśmy z bistro i kiedy zapytałam – a co teraz, panie prefekcie? – poklepałeś mnie po plecach i oświadczyłeś z niejaką swobodą: – Jedziemy dalej! – Była to wszakże dwuznaczność, podkreślona wymownym akcentem. Nie przecz, François. Wyrażając się w ten sposób, zaszarżowałaś umyślnie, abym odczuła, że prócz jazdy samochodem masz na myśli jeszcze coś innego i że wszystko toczy się swoim właściwym porządkiem: jest fajnie, z lekka trywialnie, lecz miło. Trafiłeś w dziesiątkę tym tonem, lepiej nie było można. O–la–la! – pomyślałam – facet niesie mnie już w zębach, jak lis gąskę, niesie sobie tak po prostu na niedzielę i zje w pięknym kurorcie, do którego mnie wywozi. Zje,

nawet się obliże. Więc dobrze. Niech zje i niech się obliże. A potem ja coś zrobię. Nie wiem co, ale coś zrobię. Wezmę jakiś odwet. A teraz niech zje.

Widzisz, François, tu dopiero przyznaję się do winy wobec ciebie. Nie potrafię powiedzieć, czy poniedziałkowa próba mojego samobójstwa była tym z góry zamierzonym odwetem. Chyba nie. Jeśli była, to tylko podświadomie i w znikomym ułamku. Ale nie mam też pewności, czy wszystko, co od kilku godzin mówię, leżąc tu z tobą w łóżku, jest jeszcze odwetem czy kapitulacją. Bo widzisz, François, kiedy przyjechaliśmy tutaj, do tego dziwnie pustego domu, o którego przeznaczenie wolałam się nie dopytywać, zaszło coś nieoczekiwanego. Zakochałam się w tobie, wiesz? Byłeś romantycznym kochankiem, który mnie w pewnym sensie wprowadził, i panem sytuacji, który mnie w pewnym sensie aresztował, byłeś tak nadzwyczajnie miły, ty mój zwycięzco, byłeś wspaniały, byłeś taki inny, zakochałam się w tobie.

Ale bądź spokojny, François. Rozumiem, że uważasz mnie za psychopatkę i możesz obawiać się teraz jakiś numerów. Nie, François, niczego już nie zrobię, powiedziałam „pas” w grze z tobą. Za chwilę wstaniemy, przyrządzę śniadanie, są jeszcze rogaliki, i coś postanowimy, wrócę, jeśli zechcesz, do Hiszpanii. Pozwól mi tylko dodać, że byłeś naprawdę cudowny tej nocy. Miałam po tobie miękkie kości, czułam każdą z osobna. Dopiero później, gdy poleżeliśmy pewien czas, nic nie mówiąc, pomyślałam, że muszę się jednak otrząsnąć. Poprosiłam o papierosa, pamiętasz? Niepotrzebnie się wtedy spieszyłeś i podałeś mi ognia z przesadną grzecznością. Nie chciałam cię urazić, François. Mężczyzna może się czuć dotknięty, gdy kobieta w takiej chwili ogląda się za papierosem, dlatego zapytałam, czy mogę zapalić.

### III

To wraca, panie doktorze, ale już inaczej, wyleczył mnie pan, już tylko lubię bywać na lotnisku, najchętniej wczesnym rankiem, gdy niebo wydaje się jakby większe, o, na pewno, niebo w godzinach rannych wydaje się bardzo głębokie i puste, a z lotniska je dobrze widać, otóż wraca to, panie doktorze, w takiej tylko postaci, że nieraz o świcie jeżdżę na lotnisko, dużo tam słońca i słychać szum silników, słychać taki daleki, śpiewny szmer, gdy nadlatują srebrne caravelle'e, a ja czekam przy barierze, nie puszczają mnie na płytę, zresztą po co miałabym chodzić na płytę, mówią przez megafony „atencion”, „attention, please”, i mówią „from Paris”, później powtarzają to po francusku, więc wtedy, panie doktorze, muszę się chwycić barierki, i potem, kiedy maszyna ze śpiewnym poświstem ląduje, muszę się oprzeć jeszcze mocniej, i już tak stoję, lekko przechylona, z rękami zaciśniętymi na metalowym pręcie, a to trwa długo, bo samolot wjeżdża dopiero na stanowisko, wydając z siebie niespokojne porykiwania, aż wszystko dookoła wibruje, ale w końcu podwożą do niego schodki, na których jest napisane „Air France”, ty wariatko – mówię sobie – ty wariatko, lecz mimo woli wstrzymuję oddech, i otwierają się drzwiczki, i ja patrzę, i myślę – a gdyby jednak wrócił, gdyby kiedyś przyleciał, i stanął w tych drzwiczkach, a potem zszedł na oblaną słońcem płytę, i zbliżył się do barierki, co by to było – Diego – powiedziałabym – Dolores – on by powiedział, ale nigdy

Szczerze się panu przyznam, doktorze, nienawidzę pana, chociaż to miło z pańskiej strony, że pan niepokoi się o mnie wieczorami, jestem prostą kobietą, zwykłą modystką, ale nie taką głupią, dobrze wiem, o co panu idzie, więc – nie, te historie z samobójstwami już się skończyły, leżę na tapczanie i przeglądam pisma ilustrowane, doprawdy niepotrzebnie pan o tej porze jeszcze się trudzi, ale dłaczego nienawidzę, dlatego, że pan mi tak poprzekręcał w głowie, zresztą bez pana wiedziałam, jaki to łajdak, ten Diego, ale pan mi wytłumaczył wszystko, no cóż, normalna sprawa, zawsze jest jakiś Diego, który bierze jakąś Dolores, a potem ją rzuca, wystarczy się rozejrzeć, wszędzie to samo, więc powinnam do tych rzeczy podchodzić w inny sposób, pan mi wytłumaczył, bo rzeczywiście, jak można wierzyć w takie głupstwa, kiedy on właściwie bez jednego słowa, bez powodu

A przyszła ta moja przyjaciółka Modesta i ostrzegła mnie, powiedziała, żebym

Nie, panie doktorze, to nie wróci, wiem, że on mnie wcale nie kochał, też sobie wymyśliłam królewicza z bajki, który mnie zabierze do królestwa, chyba jedna taka idiotka znalazła się w dzisiejszych czasach, pan był dla mnie bardzo dobry i serdeczny, kiedy mi pan to wszystko mówił, a wie pan, czytałam właśnie, że teraz jest wiek nerwic i schorzeń psychicznych, pan mi przecież wyjaśnił, skąd się biorą duszności i uciski wokół serca, żebym się nie przejmowała, i rzeczywiście, panie doktorze, tak w ogóle to nic mi nie jest, tylko na tle nerwicowym, ale pan jeszcze coś innego radził, może nie mam racji, ale rozumiałam, żebym sobie kogoś znalazła, i ja to zrobiłam, pan wie, było ich kilku po kolei, a wcale

Jedno mnie męczy, panie doktorze: po co mówiłam? Wciąż opowiadałam tę samą historię, teraz już mniej, ale przedtem nie mogłam się powstrzymać, szczególnie po alkoholu albo z mężczyznami, od razu zaczynałam mówić, jaki był Diego. Zna pan tę piosenkę? Ona tak idzie – que sera sera, whatever will be, will be – taki walczyk, to była nasza piosenka z wakacji w Pirenejach, więc zawsze ją śpiewałam i opowiadałam, jak szliśmy po górach aż prawie do granicy francuskiej i jakie słońce świeciło, bo kropla deszczu nie spadła przez cały czas, ale, co gorsza, mówiłam, jak za pierwszym razem robiliśmy to w ogrodzie, pan wie, panu też opowiedziałam, no, i lubiłam wspominać te rozmaite cudowności, których tyle się nasłuchiwałam, o diamentach. Boże, jakie piękne rzeczy, Diego podarował mi jedną broszkę z brylantem, sprzedałam ją teraz, ale cóż - kim on jest, ten Diego, niech pan pomyśli, panie

doktorze, jest przecież jubilerem, taki człowiek mógłby

Już dobrze, postaram się

Jeszcze jednego nie rozumiem, co to było, że on musiał odejść, dlaczego nie chciał czy nie mógł ze mną zostać, bo przecież na początku wydawał się taki dobry, bo to nie jest fałszywy charakter, panie doktorze, ale coś między nami zapadło i przegrodziło nas, nie wiem co, tego właśnie wciąż nie rozumiem, kiedy już tak bezstronnie patrzę, a może jednak on mnie kochał i nie musiało się skończyć w ten sposób, i ja nie byłabym później nic robiła z proskami nasennymi, może tylko trzeba mieć trochę szczęścia i wtedy jest dobrze, jak pan myśli?

Wszyscy mi mówią: proszę pani, taki sławny doktor, psychoneurolog

No, pewnie, psychoneurolog, taki miły

Słucham pana.

O, to możliwe!

To bardzo możliwe.

Ale dlaczego kiedyś powiedział, że nam nie wolno igrać z ogniem, jakby się czegoś obawiał, aż się zmienił na twarzy, pamiętam, przybladł – Dolores – powiada – nie możemy sobie na to pozwolić. – Jak to, Diego – mówię – jak to nie możemy sobie pozwolić? – Nie, Dolores, nie możemy w tych warunkach – tak coś zaczął i urwał, nigdy już nie zostało to dopowiedziane. A później gdy wyjechał do Francji, często się zastanawiałam, co chciał wtedy powiedzieć i czego się obawiał, i uroiłam sobie różne głupstwa, ale pan mi wytłumaczył, że z tą panią A., rozumie pan, kogo mam na myśli, wolę nie wymieniać jej nazwiska przez telefon, więc pan mi wytłumaczył, że to mi się z czymś pomieszało, że musiałam to wziąć z jakiejś idylli czy mitologii, mówił pan, i że w ogóle nikt taki nie istnieje, ale ja nie mogłam uwierzyć, dopiero teraz myślę, że pan ma rację i że może to po prostu jest jego żona, którą on ma tam we Francji.

Proszę?

Nie, doktorze, właściwie już całkiem z tego wyszłam i apetyt

Powiedziałam, że nienawidzę, bo naprawdę to pan mi zabrał Diega, a gdyby nie pan, ciągle bym jeszcze

Dziękuję, doktorze, dziękuję za tyle troskliwości, pan ma złote serce, tak się pan niepokoi o mnie, dziękuję, że pan zatelefonował, ale niepotrzebnie, bo właściwie całkiem z tego wyszłam, i jeśli coś wraca, to tylko wyjazdy na lotnisko, przeważnie rano, ale raz byłam w nocy, wie pan, wszystko tam oświetlone, a niebo ciemne, zupełnie inaczej niż w dzień, ludzi mniej i samoloty lądują rzadziej, ci z obsługi już mnie znają, są mili, więc mogę chodzić do barierki, nawet chłodno, kiedy się tak stoi, chociaż noc była ciepła, nie ma pan pojęcia, jakie czarne niebo z gwiazdami i różne echa, szmery, czasem spadają gwiazdy, trzeba dobrze natężyć słuch, a jak nic nie leci, to się ma przywidzenia, i jak nikogo nie ma, to jest cicho, i tak się stoi, tak się wtedy czeka, patrząc w ciemność i nasłuchując.

**Korekta: Anna Jęsiak**